OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 16 lutego 1924 r. № 7.

Cena niniejszego numeru Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

Rok XIX. № 7 z dnia 16 lutego 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Co robi państwo polskie dla literatury i sztuki?

Działalność Departamentu Sztuki przy Ministerstwie W. R. i O. P.

Troski o sprawy gospodarcze i polityczne pochłaniają niemal wyłącznie naszych mężów stanu. Społeczeństwo zaabsorbowane jest całkowicie wzmożoną walką o byt, trudnościami codziennego życia. Literatura i sztuka zeszły na plan dalszy, powiedzmy nawet: daleki. Minęły czasy, kiedy ona to właśnie, — literatura i sztuka, — były najwyższą emanacją narodowego ducha, trzymały powszechność polską w ustawicznem napięciu, krzepiły serca, wołały przed światem całym: — Polska istnieje. O tych zasługach zapomniano potrochu, wskrzeszona Polska — „Polonia Restituta" zobojętniała nagle wobec tych, co podtrzymywali, w najcięższych czasach niewoli, literaturę polską, teatr polski, sztukę polską, dziennikarstwo polskie.

Opieka nad literaturą i sztuką, po wypędzeniu niemców, powierzoną została specjalnemu ministerstwu, którego kierownictwo objął znany pisarz, p. Zenon Przesmycki (Miriam). Wprędce jednak okazało się, że taki organ jest dla wolnej Polski nadto kosztownym zbytkiem. Ministerstwo zostało przekształcone na departament, przydzielony do Ministerstwa W. R. i O. P.

Ministerstwo Kultury i Sztuki, podczas niedługiego swego istnienia, nie zdołało sobie wyrobić jasnego programu. Szukało dróg, zajmowało się potrochu mecenasostwem, — na które zresztą brakowało zawsze pieniędzy. Stąd rozczarowanie, nawet gorycz.

Departament Sztuki, przystosowując się do nowych warunków, wytknął sobie inne zadania.

Jakież są te zadania, jaką działalność rozwija Departament?

To właśnie chcieliśmy wyjaśnić.

. . . .

Na czele Departamentu Sztuki, po usunięciu się Fałata, stoi p. Jan Skotnicki. Był jednym z towarzyszów pracy Miriama, przetrwał wszystkie zmiany i przeobrażenia.

P. Skotnicki w naszym świecie artystycznym należy niewątpliwie do jednostek najbardziej uspołecznionych i wyrobionych politycznie. I zapisał się w szeregi urzędnicze nie — dla uzyskania posady, — ale z poczucia obowiązku, który należy spełnić z głębszego zrozumienia interesów państwowych.

Zwracamy się do p. dyrektora Departamentu Sztuki z pytaniem:

— Czy może Pan nam określić, jakie są obecne zadania i prace Departamentu Sztuki?

. . . .

— Musieliśmy zstąpić z pałaców, sterczących dumnie, odpowiada p. dyrektor, przystosować się do warunków finansowych państwa. Gdy nas nie stać na popieranie sztuki, — staramy się wykorzystywać talenty dla celów państwowych, okazywać

pomoc i współdziałanie tam przedewszystkiem, gdzie w grę wchodzi bezpośredni interes państwowy.

W nowej konstrukcji Departamentu istnieją działy następujące:

1. Sztuki plastyczne,
2. Zabytki i muzea,
3. Literatura i teatry.

Przedewszystkiem tedy zwróciliśmy uwagę na organizację Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Kontrola i opieka nad szkolnictwem artystycznem, to jedna z ważniejszych misji Departamentu. Przytem, w dążeniu do stylu rodzimego, uznaliśmy jako zasadę, że nie materjał należy naginać do kształtu, ale przeciwnie, trzeba szukać linij i kształtów, wypływających z materjału, odpowiadających przytem duchowi czasu.

Stąd zaraz wysuwa się na pierwszy plan znaczenie sztuki stosowanej.

Przemysł nasz zmienił rynki zbytu, współzawodniczy teraz z wzorami zachodniemi. Nasze wzory muszą mieć własną odrębność. Pchnięcie twórczości polskiej w tym kierunku staje się koniecznością państwową.

W dziedzinie architektury interesujemy się żywo odbudową miasteczek i wsi, zwłaszcza na kresach wschodnich. Jest to rzecz wielkiej wagi, aby te miasteczka zachowały charakter zachodnio-europejski. Miejscowi architekci — zazwyczaj żydzi lub rosjanie,—mają przeważnie inne upodobania. Trzeba tym aspiracjom przeciwdziałać.

Departament zajął się żywo udziałem Polski w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Stosowanej, która odbędzie się w Paryżu. Delegatem rządu jest p. Jerzy Warchołowski. Utworzony został specjalny komitet.

. . . .

— Jak funkcjonuje opieka nad zabytkami i muzeami?

— Początkowo do każdego województwa przydzielony był przedstawiciel Departamentu w charakterze konserwatora. Lecz nastąpiła redukcja. Konserwatorzy utrzymali się tylko w miastach uniwersyteckich.

Obowiązkiem konserwatorów jest:

a) Inwentaryzacja zabytków i opieka.

b) Opinjowanie o nowych projektach budowli.

c) Załatwianie formalności, związanych z wywozem dzieł sztuki za granicę.

Główny nacisk kładziemy na zabytki, które mają znaczenie ogólnopaństwowe, które świadczą o chwale i dawności naszej kultury i wynikających stąd prawach.

Najskuteczniejszym sposobem zabezpieczenia zabytków jest przystosowanie ich do używalności w dobie współczesnej, — oczywiście nie zatracając w niczem cech właściwej epoki.

Inwentaryzacja dokonywa się przez zdjęcia fotograficzne i pomiarowe, do których dołącza się pobieżny rys historyczny. Na zasadzie tych danych otrzymują odpowiednie instrukcje policja lokalna i właściciel zabytku. Żadna zmiana nie może być dokonana bez upoważnienia konserwatora. Posiada on do rozporządzenia pewne fundusze, aby w razie potrzeby dopomóc właścicielowi do remontu.

Nasi konserwatorzy napotykają pewne przeszkody przy ochronie zabytków, należących do mienia kościelnego. Należy mieć nadzieję, że konkordat wyjaśni te stosunki. Na razie stwierdzić należy, że nasze duchowieństwo naogół zdaje sobie sprawę z pożytku pracy konserwatorów i acz nieoficjalnie, w szerokiej mierze korzysta z ich pomocy. W tej chwili np. inwentaryzację skarbca w klasztorze jasnogórskim przeprowadza jeden z urzędników Departamentu. Ponadto konserwatorzy mają obowiązek informowania się tu o potrzebach kulturalnych danego okręgu. Ma to szczególne znaczenie na kresach.

. . . .

Teraz muzea.

Departament Sztuki dąży do scentralizowania i uporządkowania spraw muzealnych. Obecnie w tej dziedzinie panuje całkowity chaos. Pomyślnym krokiem w kierunku naprawy tych stosunków jest uchwała Rady Ministrów, przekazująca zbiory państwowe, które znajdują się w zawiadywaniu Ministerstwa Robót Publicznych—Ministerstwu W. R. i O. P.

Następnym etapem tej akcji Departamentu będzie uregulowanie stosunku do Ministerstwa Wojny i do muzeów, pozostających w tego Ministerstwa zawiadywaniu. Departament stoi na stanowisku jak najdalej idącej autonomji poszczególnych działów muzealnych, jednak zdrowa myśl państwowa wskazuje, aby zaprowadzona została jednolitość gospodarki muzealnej i ażeby sumy, wydatkowane na ten cel przez pań-

stwo, mieściły się w budżecie jednego resortu.

Zbiory państwowe dziś już przedstawiają bardzo bogatą kolekcję, rozrzuconą, w braku odpowiednich pomieszczeń muzealnych, po różnych gmachach reprezentacyjnych.

. . . .

Mówimy z p. Skotnickim o literaturze.

P. dyrektor Departamentu Sztuki przyznaje, że w tej dziedzinie niewiele jeszcze dokonano. Opieka nad ojczystem piśmiennictwem i rzeszą przedstawicie i tego piśmiennictwa dotychczas ogranicza się do małych rzeczy. Wydano antologję poetów polskich w języku niemieckim (specjalnie dla narodów północnych, wśród których język niemiecki jest najbardziej rozpowszechniony). Subwencjonowano kilka wydawnictw, jak np. „Książka polska w XV i XVI wieku, „Słownik literacki" Lama,— udzielono w nagłych wypadkach pomocy paru literatom. Departament roztoczył czujną opiekę nad projektem prawa autorskiego, który niebawem znajdzie się w Sejmie.

Niedużo.

. . . .

— Co Departament czyni w dziedzinie muzyki?

— Prowadzimy dwa konserwatorja, w Warszawie i Poznaniu. Rozciągnęliśmy wogóle nadzór nad szkolnictwem muzycznem. Usiłujemy położyć nacisk na pobudzenie polskiej twórczości muzycznej, nie zaś, jak dotąd przeważnie bywało, na rozwój wirtuozostwa. Ciężar kształcenia wirtuozowstwa należałoby raczej przesunąć w dużej mierze na szkolnictwo społeczne i prywatne.

Departament stara się szerzyć zamiłowanie do muzyki wśród szerszych warstw ludowych, popierając i subwencjonując orkiestry amatorskie, chóry, jako czynnik społeczny i kulturalny wysokiego znaczenia.

. . . .

W dziale teatralnym Departament Sztuki szczególną uwagę zwraca na teatry kresowe (Wilno, Grodno, Lwów, Śląsk, Pomorze). W tych miejscowościach kresowych, gdzie niepodobna utrzymać teatru stałego, Departament zakłada towarzystwa miłośników sztuki dramatycznej, udziela im poparcia i opieki.

— A jaki jest stosunek Departamentu do Teatrów Miejskich w Warszawie?—pytamy.



J. Skotnicki.

— Nowo mianowany dyrektor Teatrów Miejskich, o ile wiemy, pragnąłby wyłączyć ze sfery interesów miejskich Operę i przekazać ją państwu. Skłaniają go do tego oczywiście wielkie deficyty, jakie wykazuje Opera. Ale Departament Sztuki nie może zgodzić się z tak łatwem rozwiązaniem sprawy. Przedewszystkiem musi być rozstrzygnięta kwestja własności gmachów teatralnych. Kwestję tę skomplikowała bardzo odbudowa teatru Rozmaitości, prowadzona kosztem miasta.

Minister Głąbiński ustalił kredyty, jakich Skarb Państwa miał udzielać Teatrom Miejskim w Warszawie. W drugiej połowie roku ubiegłego wszakże minister Kucharski zakwestjonował te kredyty, jako zbyt ciężkie dla finansowych możliwości Państwa. Kredyty, jakiemi obecnie na ten cel rozporządza Ministerstwo W. R. i O. P., mogą wystarczyć jedynie na popieranie polskiej twórczości operowej. Innemi słowy, Ministerstwo musi się ograniczyć do subwencji na wystawianie oper kompozytorów polskich.

— W kwestjach cenzuralno-kinematograficznych Departament Sztuki jest instytucją odwoławczą.

. . . .

Jak widzimy, mimo skromnych nad wyraz środków, działalność Departamentu porządkuje się, ogarnia coraz szersze widnokręgi.

Na zakończenie p. Skotnicki prosi o zaznaczenie, że jego wyjaśnienia o działalności Departamentu z natury rzeczy mają charakter prywatny, są wyrazem jego osobistych zapatrywań. *sk.*

Wystawa dzieł Józefa Simmlera w Zachęcie Sztuk Pięknych w Warszawie.



PORTRET P. BRUNOWEJ.



PORTRET P. EYDZIATOWICZOWEJ.



MARJA I MIECZNIK („Marja“ Malczewskiego).



MARJA I WACŁAW („Marja“ Malczewskiego).



ZUZANNA

JÓZEFA SIMMLERA WYSTAWA W ZACHĘCIE.

Słusznie, że Zachęta jednemu ze swych twórców na setną rocznicę urodzin otwarła podwoje tak gościnnie.

Simmler był w latach przedpowstaniowych najwybitniejszą jednostką w sztuce polskiej. Prócz całego szeregu portretów ludzi z owych lat — widzimy liczne kompozycje historyczne. Do nich często modą ówczesną zwracał się znakomity artysta — im zresztą większą część swego rozgłosu zawdzięczał.

Środkową ścianę sali zajmuje ogromne płótno „Męczeństwo Ś-go Józefata", obraz przez moskali skonfiskowany i do Rosji wywieziony — niezadługo po umieszczeniu w kościele w „Białej Podlaskiej".

Dopiero teraz, po 60 latach poniewierki, wróciło to znakomite płótno znów do kraju. Jestto jedno z najlepiej skomponowanych dzieł o treści historycznej—bo mimo, że przedmiot obrazu jest raczej kościelny, tak ściśle związany z naszą przeszłością, historycznym jest bezsprzecznie. W temperamencie Simmlera nie leżał ruch nadmierny. Nie widzimy na wystawie obrazu drugiego, gdzie gwałtowność sytuacji dorównywałaby męczeństwu Ś-go Józefata.

Simmler urodzony 14 marca 1823 roku jest prokursorem tego, co się układa w regułę: „Sztuka polska". Pod owe czasy rozpoczynały się dopiero pierwsze kroki na drodze tak pełnej chwały w przyszłości. Malarstwo było w rękach albo dyletantów, albo ludzi nie rozumiejących istotnych zadań sztuki.

Lata młodzieńcze Simmlera spłynęły na studjach bardzo sumiennych na razie w Warszawie pod okiem doświadczonem Bonawentury Dąbrowskiego. Znakomity Piwarski przewodniczył młodzieńcowi, i doradził rodzinie Simmlera, aby wysłała ucznia za granicę dla uzupełnienia nauki.

W r. 1842 znalazł się w Monachjum, które jaśniało podówczas sławą Kaulbacha, Korneljusa i Genellego. Po ukończeniu studjów akademickich wyjechał w r. 1847 do Paryża.

Tam w pracowni Delarochè'a wiele korzystał z rad znakomitego artysty, skopjował nawet jedno z arcydzieł mistrza, „Dzieci Edwarda króla angielskiego". W Paryżu powstały też cztery szkice czy obrazy do „Marji" Malczewskiego.

Ożeniwszy się — około 1850 r. osiada na stałe w Warszawie i rozpoczyna bardzo ożywioną działalność. Z początku tylko portretową, z czasem na rodzaj histo yczny i kościelno-rodzajowy przechodząc.

Oto co pisze Wojciech Gerson o czasach, w których sądzonem było Simmlerowi zająć tak znakomite stanowisko w Warszawie.



Józef Simmler. Deotyma.

„W czasie kiedy Simmlera młodzieńcze przeczucie przyszłego zawodu budzić się zaczynało, w Warszawie wiał prąd upodobania do sztuk pięknych, rozbudzony wystawami, zamiłowanie do obrazów rosło i potrącało o gorące głowy i serca młodzieży, poczuwającej się do zdolności plastycznych. Atoli znakomity Antoni Brodowski, profesor malarstwa na wydziale sztuk pięknych przy uniwersytecie, obdarzony wielkim talentem, a przejęty wyższemi zasadami, z Włoch i Francji płynącemi, usiłowań odnowienia sztuk, już nie żył.

Najzdolniejszego jego ucznia, Hadziewicza, nie było w kraju. Dojrzali i skończeni artyści: Kokular, Fanhauser i inni, o wyższych zadaniach sztuki nie myśleli, zaprzątnięci gromadzeniem dzieł dawnych mistrzów z rozproszonych w kraju magnackich zbiorów, zyskownemi przedsiębiorstwami dostarczania miernych obrazów kościelnych, a przeważnie korzystnem portretowaniem.

Lesser wchodził na drogę historycznego malarstwa, January Suchodolski działał twórczo,— potrącając o historję, ale to wszystko.

Cienko to wygląda, — ale dalej informuje Gerson:

„Śmierć Barbary" taka, jaka jest, nie przestanie być jednem z najznakomitszych dzieł sztuki naszej; a nie przesadzę, jeśli powiem, że nawet u sąsiadów, wyższym poziomem sztuki szczycących się, zostanie obrazem znakomitym.

Gdybyśmy tylko mocą samego wrażenia mierzyć chcieli wartość dzieła, dośćby było przypomnieć chwilę, kiedy obraz ten, po raz pierwszy wystawiony w salach „Wystawy Krajowej" w roku 1860, nietylko ściągał tłumy widzów zachwyconych, ale trzymał pod wrażeniem tak mocnem, że w sali nikt ciszy nie przerywał, jakby oczom patrzących żywo obecna była postać króla i cichy wieczny sen żony.

Te słowa współczesnego Simmlerowi możemy podpisać obecnie; lat sześćdziesiąt z górą nic nie zmieniło w znaczeniu tego świetnego dzieła sztuki.

* * *

Simmler widziany z sześćdziesięcioletniej perspektywy czasu — zyskuje. Dziś oglądając zespół tych kilkudziesięciu obrazów, dopiero zdolni jesteśmy ocenić znaczenie tego twórcy dla polskiego malarstwa.

Bez tej pracy — epoka 1860 lat pusta by była niemal. Któż zastąpiłby te portrety?

Widzimy tam prace tak świetne z zakresu wizerunku, że można je nietylko porównywać z najlepszemi dziełami znakomitych cudzoziemców — ale z wielu względów często je przewyższają nawet.

Naturalnie na wystawie widzimy zgromadzone razem to wszystko, co znalazło się. Wolelibyśmy selekcję. Każdy twórca posiada w swym majątku gorsze, lepsze i najlepsze dzieła. Te ostatnie — i tylko te winny być wystawiane.

Z epoki pobytu w Dreźnie przeważa wpływ starych majstrów, co jest zrozumiałe u młodego jeszcze malarza. Wpływy te potem, zacierając się — zostawiają jednak to, co najważniejsze: znakomite ujęcie kompozycji i wprost świetną technikę. Tak mało kto malował pod owe czasy w Polsce.

Wł. Wankie.

Wystawa dzieł Józefa Simmlera w Zachęcie Sztuk Pięknych w Warszawie.



PORTRET P. M. GOLDSTANDOWEJ.



ŻONA ARTYSTY.



RODZINA ARTYSTY (siostra, szwagier, artysta i brat).



JADWIGA SIMMLER—CÓRKA ARTYSTY.

Przed rozbiórką b. soboru.



Po wręczeniu kluczy przez p. dyr. Szaniora, przedstawic. minist. rob. publ., prezes związku spółdzielni budow. A. Doerman oddaje klucze dyrek. związku inż. T Grzywińskiemu dla otwarcia soboru i przystąpienia do rozbiórki.

Fot. Sarysz Wolski.

„CHEZ MONSIEUR LE PRESIDENT".

(Bal w Pałacu Elizejskim).

Na długo przed godziną obiadową ruchliwi agenci policyjni w granatowych pelerynach i kepi, z białemi pałkami w ręku zaczęli odgradzać dostęp do pałacu od strony ulicy Royale i placu St. Philipe-du-Roule, energicznie odpędzając natrętne „taxi" i przypadkowych przechodniów. Tylko szczęśliwi wybrańcy i wybranki losu oraz sekretarjatu Prezydenta, strojni w puszyste futra, cylindry lub „pierogi", w towarzystwie rozradowanych, pachnących i skrzących się od biżuterji dam, zaopatrzeni w magiczne czerwone bilety, z łatwością przedostają się w luksusowych limuzynach przez kordon stróżów porządku i prawa Trzeciej Republiki, by dotrzeć do wysokiej okratowanej bramy pałacu, której strzeże dwóch strzelców pieszych Gwardji Republikańskiej. Od bramy dzieli pałac tylko niewielki dziedziniec. Przez wielką oszkloną werandę wchodzi się do obszernej szatni ze szkarłatnemi, ciężkiemi kotarami.

Tu, po pozostawieniu wierzchniej garderoby i po ostatniej konsultacji w lustrze, następuje wręczenie kart zaproszeniowych. Teraz korowód gości wkracza na obszerne, czerwonym dywanem kryte schody, by pośród szpaleru rosłych, marsowych kirasjerów tejże gwardji w czarnych płaszczach i charakterystycznych chełmach z końskiemi ogonami przedostać się na pierwsze piętro do przedpokojów pałacowych. Jeszcze chwila, a nazwiska, kolejno anonsowane przez oficjalnego „huissier'a"[1]) w czarnym dworskim kostjumie z łańcuchem srebrnym na szyi oraz przy szpadzie, dobiegną stojącego u wejścia do salonu recepcyjnego uśmiechniętych uprzejmie Pana Prezydenta oraz Panią Millerand, poczem nastąpi krótki uścisk dłoni z pierwszym obywatelem Francji, pocałunek złożony na ręce Pani Prezydentowej, wreszcie defilada do innych salonów i sali balowej.

Pałac Elizejski to jeden z klasyków 18-go stulecia. Zbudowany przez Ludwika XV-go dla pani Pompadour, zamknięty podczas Wielkiej Rewolucji, znów jaśnieje splendorem za bytności Cesarzowej Józefiny i Napoleona. Później otacza perfumowanym komfortem nieszczęsnego Księcia de Berry, a za Drugiej Republiki jest świadkiem spisku Ludwika Napoleona. Obecnie, od lat 50-u, jest godną siedzibą pierwszych reprezentantów Francji.

W pałacu niewiele się zmieniło. Te same delikatne buazerje „roccoco", te same wzorzyste dywany, pozłacane meble i gobeliny, ten sam wielki biały marmurowy zegar w bronzowych złoconych okuciach tyka miarowo na kominku, jak tykał pięknej kochance Ludwika, Napoleonowi, a potem jego bratankowi. Znikły tylko z herbów Francji lilje burbońskie i złote orly cesarskie, a zastąpiły je skromniejsze choć niemniej dumne inicjały „RF". Zamieniono tylko staroświeckie świeczniki na wielkie, skrzące się od elektrycznego światła, z seledynowego kryształu kunsztownie sklecone, pająki.

Zmienili się natomiast ludzie, stroje i maniery. Odeszły pudrowane peruki flet i klawicymbał, hafty, koturny i krynoliny, lśniące atlasy i złotem tkane brokaty. Zszarzał świat cały, pozbywając się koloru i wykwintnych, choć przesadzonych manier. Nie wina to ludzi lecz postępu i mechanizacji życia.

Więc widać było w ów wieczór u Pana Prezydenta przeważnie czarne fraki, rzadziej złotemi galonami szyte i orderami zdobione mundury dyplomatów, lub laurowemi liśćmi wyszywane stroje „nieśmiertelnych". Gdzieniegdzie cudzoziemski uniform wojskowy, kapiący od złota i dekoracji (w liczbie przeważnie w odwrotnym stosunku do ważności reprezentowanego państwa), migał pośród dyskretnie gwarzącego, porównującego ukradkiem ordery lub wymieniającego zdawkowe komplementy tłumu.

Towarzystwo zgoła niebanalne. Wieczór ten bowiem zgromadził kwiat sławy, kultury i sztuki tryumfującej Francji. Więc oto tryumfator Wielkiej Wojny Foch, w niebieskim mundurze marszałkowskim, o głowie orła, tygrysa i filozofa, — zwycięzca z nad Marny, Marszałek Joffre, sławny obrońca Verdun, Marszałek Petain, bezręki bohater stu bitew, generał Goureau, spadkobierca polityki napoleońskiej, Poincaré, kardynał arcybiskup Paryża, Dubois, w purpurze, nuncjusz papieski w fioletach,—ambasador brytyjski, Lord Crewe, w czerwonym mundurze gwardji. Potem korpus dyplomatyczny w mundurach różnych krojów i wszelkiego autoramentu galonów, jeneralicja w „bleu horizon", przedstawiciele wysokiej burżuazji, sfer rządowych i municypalnych i wreszcie bukiet pań, pachnących i strojnych, przyodzianych w delikatne, obcisłe suknie balowe.

Słychać było czterdzieści języków, widziało się cztery rasy.

Tutaj gestykulujący Francuz dyskutuje ze sztywnym Anglikiem, tam mały, śniady Włoch flirtuje z tęgą Jugosłowianką, dalej kędzierzawy wysłannik Kemala nadskakuje pięknej Amerykance, a czarnooki reprezentant egipskiego Fuada tęsknem okiem zerka ku nadobnej Greczynce czy Polce.

Atmosfera, choć sztywna i oficjalna, nie pozbawiona charakteru i znaczenia. Jest to bowiem moment tryumfu Republiki, która po trudach i cierpieniach Wielkiej Wojny znów otwiera salony...

Czasem orkiestra zepsuje harmonijną całość dysonansem „fox-trott'a" lub bulwarowej piosenki, lecz na to nikt nie zwraca uwagi, a gdy Prezydent wraz z ministrami opuści bufet, przy republikańskim szampanie, tartynkach i ciastkach czyni się nieopisana ciżba.

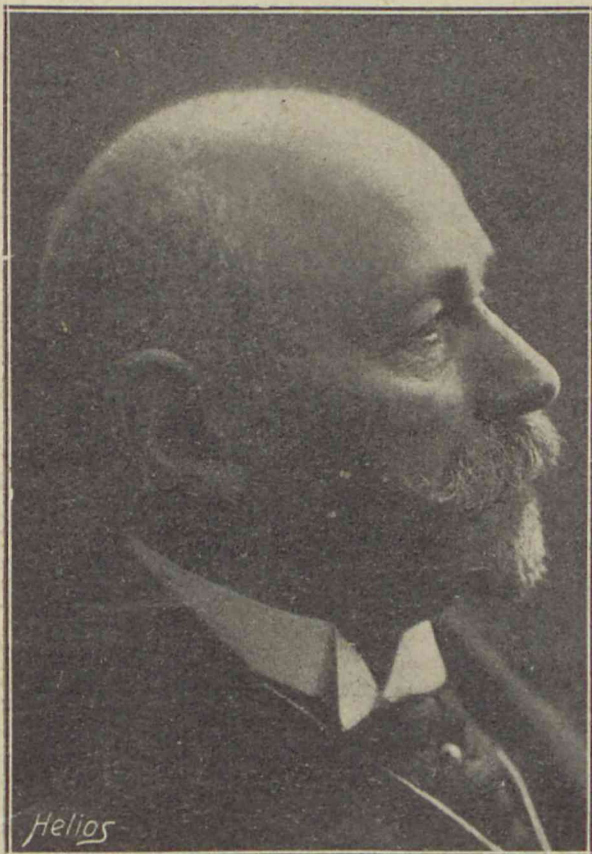
Paryż. *Stefan Kleczkowski.*



[1]) Oddźwierny.

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE.

Zamek królewski w Warszawie w lata niewoli reprezentował dumnie nieprzedawniony urok Polski wolnej, mającej w swojej przeszłości słoneczne chwile glorji Batorego i piękne wysiłki Stanisława-Augusta nad dźwignięciem kultury narodowej. Rząd rosyjski łupił Zamek królewski, ile razy tylko zdarzyła się odpowiednia okazja. Używała też dorobku artystycznego i p. Hurkowa, żona b. gubernatora warszawskiego. A zresztą kto nie korzystał ze skarbów sztuki nagromadzonych przez królów naszych? Prusacy, Szwedzi obławiali się na



Al. Kraushar.

pokojach królewskich i unosili co mogli z Zamku.

Po restytucji państwa naszego Zamek królewski w Warszawie wrócić musi siłą rzeczy do dawnej reprezentacyjnej swojej roli. Jak jednak zapewnić mu dawną świetność po tylu grabieżach, po tylu barbaryńskich przeróbkach? Sprawą tą zajęli się ludzie dobrej woli. Była ona też przedmiotem gorących targów podczas spisywania klauzul Traktatu Ryskiego. Ukazały się i publikacje różne, omawiające Zamek królewski w Warszawie tak ze strony architektonicznej, historycznej, jak i artystycznej oraz zabytków sztuki, które ongi znajdowały się w murach tej siedziby monarszej. Wśród publikacji tych bardzo udaną jest książka, skomponowana przez znanego historyka, miłośnika starej Warszawy, mec. Aleksandra Kraushara. Książka ta nosi tytuł „Zamek królewski w Warszawie". Zawiera ona zarys historyczno-obyczajowy, będący właściwie źródłowem studjum historycznem, pióra A. Kraushara oraz 57 plansz fotograficznych, wykonanych niezwykle starannie techniką „tiefdruckową". Plansze te plastycznie ukazują tak piękno zewnętrznej architektury Zamku, poszczególnych sal, fragmenty wnętrz, jak i cenne obrazy, arrasy, płaskorzeźby. Ilustracje te w związku ze studjum A. Kraushara wywołują wizję rozwojową wypadków historycznych, które zrosły się z temi murami szacownemi, z zabytkami piękna i troski królewskiej. Z tej racji księga A. Kraushara jest bardzo cennym nabytkiem dla każdego kulturalnego polaka. Stanowi ona tom pierwszy zamierzonego wydawnictwa „Dawne pałace warszawskie" i daje świadectwo wysokiej wartości kulturalnej temu przedsięwzięciu. Treść księgi tej, jak i jej szata zewnętrzna, graficzna, wydawnicza mówią o dużym pietyzmie i umiłowaniu przedmiotu.

F.

Życie rodzinne powojennej Polski.

Dokończenie ankiety „Świata".

Najmłodsze pokolenie.

— Jak się przedstawia problem wychowania dzieci w nowoczesnej, powojennej rodzinie? — zwracam się z zapytaniem do jednej z matek.

— Bardzo źle, przeważnie fatalnie. Z chwilą, gdy matka staje na równi z mężem do zarobkowej pracy, gdy przeważną część dnia spędza poza domem, a potem wraca zmęczona, zdenerwowana, sprawa wychowania dzieci cierpieć musi bardzo poważnie. Odnosi się to zarówno do najmłodszych dzieci, jak i do starszych. Te maleństwa, które dawniej były zawsze oczkiem w głowie matki, dzisiaj zostają zdane na opiekę piastunki, a częściej jeszcze służącej do wszystkiego, która w nawale innych zajęć, sprzątania, gotowania i t. p., nie ma wprost czasu myśleć o dziecku. Biedny dzieciak chowa się, że tak powiem, własnym przemysłem, przeważnie rośnie jak dziczka. Może być, że rozwija to w dziecku już od najwcześniejszej młodości większą samodzielność, umacnia je i hartuje do przyszłej walki o byt, ale... ale dzieje się to kosztem zatraty bardzo cennych wartości. Przedewszystkiem w tych warunkach bardzo trudno zadzierzga się tę nić najczystszej miłości między matką i dzieckiem, miłości, która, jedyna na świecie, może przetrwać wszystkie przeciwności, wszystkie przyszłe nieporozumienia. Oczywiście nie znaczy to, by nie było wzajemnej miłości, by w ciągu tych paru godzin, razem spędzanych, brakowało tkliwego sentymentu; niema jednak tej najściślejszej więzi, jaką wytwarza ciągła bezpośredniość obcowania. To wydaje mi się najważniejszem. Nawet trzymanie bony do dziecka w zamożniejszych rodzinach, bony, która zresztą zjada zazwyczaj właśnie to, co pani domu swą pracą zarobi, przyczynia się jedynie do staranniejszego wychowania dziecka, ale związek wzajemny matki i dziecka raczej jeszcze bardziej rozluźnia.

— A dzieci starsze?

— Te przeważnie czas, kiedy matka pracuje poza domem, spędzają w szkole, więc braku matki w tych godzinach nie odczuwają. Im natomiast daje się we znaki jej przemęczenie, zdenerwowanie. Dawniej tylko ojciec rodziny był tą osobą, której wypoczynek i spokój musiał być uszanowany, był stałym współczynnikiem domowego porządku i obrządku. Matka była tą dobrą duszą, u której znajdowało się współczucie, skarżąc się na niesprawiedliwość profesorów, która łagodnie i wyrozumiale karciła najcięższe przestępstwa, która starała się dopomódz biednej „ofierze systemu szkolnego" w wypracowaniu zadań szkolnych. Czy ta dobra dusza może dzisiaj po siedmiu czy ośmiu godzinach ciężkiej zarobkowej pracy dać dzieciom to samo, co im dawała wówczas, kiedy cały swój czas i trud poświęcała tylko rodzinnemu ognisku? Ona niewątpliwie kocha te dzieci tak samo, jak dawniej, może nawet więcej, ale przeciw fizycznym niemożliwościom nie zaradzi żaden sentyment. Wychowanie dzieci szwankuje i inaczej być nie może w obecnych warunkach życiowych.

— — — — — — — —

— Dzisiejsza młodzież — mówi mi jeden z wybitnych wychowawców i pedagogów — ulega bardzo radykalnej ewolucji.

— Czem się to tłómaczy?

— W pierwszym rzędzie współczesnem życiem rodziny. Troska życiowa, walka o byt codzienny pochłania niemal całkowicie siły i uwagę tak ojca rodziny, jak matki. Wpływ domu na dzieci zmniejsza się z każdym dniem. Dawniej dziecko zdobywało w domu podłoże etyczno-moralne, zadaniem pedagoga było rozwijać dalej te wytyczone już linje. Dzisiaj coraz częściej dostajemy zupełnie surowy materjał. Gorzej: materjał już obarczony złemi skłonnościami. Natura dziecka jest dziwnie podobna do młodej rośliny, ma skłonności ku wybujaniu. Dzikie pędy rosną łatwiej i szybciej, niż kultywowane. Dawniej tym mądrym ogrodnikiem, kierującym rozwojem, była zazwyczaj matka, nierzadko ojciec. Dzisiaj, mimo najlepszej woli, mimo najczulszej ku dziecku miłości, zmuszeni twardą koniecznością życia, pozwalają mu rozwijać się samopas. Dodajmy jeszcze do tego pewne nieuniknione następstwa epoki wojennej. Przyniosła ona niewątpliwie zdziczenie obyczajów, wzrost okrucieństwa, bezwzględność, wybujałość egoizmu.

Należałoby wobec tego tem więcej starania poświęcić dzieciom, aby wyplenić te wojenne chwasty. Tymczasem dzieje się naodwrót: wpływ domu na dzieci jest nieporównanie mniejszy, aniżeli przed wojną. Zadania i odpowiedzialność wychowawcy urastają wprost ponad miarę. A w dodatku to, co dziecko widzi w domu, te zmienione stosunki rodzinnego życia, czyż to może dopomagać do ukształtowania duszy młodego pokolenia?

Walka o byt.

— Życie rodzinne w chwili obecnej — oświadcza w odpowiedzi na zadane mu zapytanie jeden z wyższych urzędników ministerjalnych — jest najściślej związane z problemem walki o byt. Zależnie od tego, jak rozwija się ta walka dla danego osobnika, z pomyślniejszym lub mniej pomyślnym wynikiem, życie jego rodzinne układa się tak czy inaczej. W uprzywilejowanych sferach, gdzie „łatwo się robi pieniądze", tryb życia rodzinnego nie uległ prawie zmianie. Zrodziła się tylko większa lekkomyślność życiowa, wynikająca, całkiem naturalnie, z łatwości zdobywania środków materjalnych. Marnotrawstwo było w Polsce nietylko przysłowiowe, ale i tradycyjne. „Zastaw się, postaw się". Dzisiaj brzmiałoby to: „Spekulantom fortuna sprzyja".

Ale spekulanci są tylko uprzywilejowaną i nieliczną klasą w społeczeństwie. Większość musi naprawdę w pocie czoła zarabiać na skromne utrzymanie. W tych właśnie mało zamożnych urzędniczych sferach nieszczęsny ojciec rodziny pełni naprawdę Syzyfową pracę. Poza zajęciem biurowem, spełnianem mniej lub więcej gorliwie, szuka innych, pobocznych źródeł zarobku, pracuje po godzin dwanaście i czternaście na dobę. Albo idzie na łatwiejszą drogę: spekuluje na giełdzie. Kiedy niekiedy wygrywa dzięki temu trochę zasobów na kupienie ubrania czy t. p., częściej denerwuje się i wprowadza tę atmosferę zdenerwowania w życie rodzinne.

To, co zarabia t. zw. proletarjat inteligentny w urzędzie czy gdzieindziej, wystarcza zaledwie na pokrycie kosztów życia i mieszkania. Jeżeli te warunki zarobkowania nie ulegną w najbliższej przyszłości zasadniczej przemianie, dojdziemy rzeczywiście do tragicznego kryzysu. Zabraknie ludzi do pracy urzędniczej, bo nikt do niej kwapić się nie będzie, skoro każda inna praca daje zyski nieporównanie większe.

Dzisiaj dla urzędnika, mimo wszystkich tak zwanych rodzinnych dodatków, rodzina staje się nieznośnym ciężarem. Kawaler, człowiek samotny, może jeszcze związać koniec z końcem. Im liczniejsza jest rodzina, tem trudniej zaspokoić potrzeby codzienne. Ciężar domowych trosk, kłopoty drożyźniane spadają przedewszystkiem na barki matki rodziny. Nieszczęśliwa żona staje się ofiarą w dosłownem znaczeniu. Pełni funkcję służącej, bo brak środków na utrzymanie pomocnicy. Musi walczyć z dziećmi, które egoistycznie uchylają się z pod jej woli. Liczy, kalkuluje, oszczędza, dochodzi wprost aż do aberacji i wycieńczenia.

Niegdyś rodzina, solidna, pracowita, oszczędna, dążyła konsekwentnie do tego, by zapewnić przyszłość sobie i dzieciom. Obecnie znalazła się na rozdrożu. O oszczędzaniu niema mowy, myśl o przyszłości staje się absurdem. Pracuje się w pocie czoła tylko na to, by przeżyć dzień dzisiejszy.

Na tem podłożu wyrasta groźne niebezpieczeństwo, na które, niestety, nie zwraca się jeszcze uwagi. Przedwojenną tragedją Francji stał się system dwojga dzieci. U nas dzisiaj jest jeszcze gorzej: i mąż i żona uważają nie dwoje ale jedno dziecko za tragedję, za przeszkodę w życiu. Wolą nie mieć dzieci. I to — może się stać dla narodu strasznem następstwem obecnej ciężkiej walki o byt. A więc: *Caveant consules!*

Współczynnik mieszkaniowy.

Powtarzano przed wojną koncept, że człowiek składa się z ciała, duszy i pasportu. Dzisiaj do tych trzech elementów składowych należałoby bezwzględnie dodać jeszcze czwarty: mieszkanie. Kwestja mieszkaniowa odgrywa dzisiaj rzeczywiście pierwszorzędną rolę w życiu rodzinnem.

— Czemu się nie żenisz? — pytam kogoś ze znajomych.

— Para jaskółek, trznadli, sikor, wróbli może ślicznie ulepić sobie, czy uścielić gniazdko pod dachem, w konarach drzew — odpowiada mój przyjaciel. — Niestety, takiego *logement* nie mogę zaproponować mojej przyszłej połowicy. A każdy pokoik w stolicy kosztuje już dzisiaj miljardy, miljardy. W tych warunkach o żeniaczce niema mowy.

— — — — — — — —

Kochali się bardzo i pobrali się ostatecznie, mimo wszelkich przeszkód, jakie życie piętrzyło przed nimi. Po ślubie zamieszkali w domu rodziców, jego czy jej, a w tej samej chwili rozpoczęły się pierwsze konflikty i niesnaski. Życie rodzinne wymaga nieodzownie własnego gniazda. Może w innych, pomyślniejszych warunkach, staliby się wzorowem małżeństwem. Z przypadkowego przytułku, gdzie schroniła się ich miłość i szał, poszli prosto do rozwodowego ogonka.

— — — — — — — —

— Tragedją rodzinnego życia — skarży się ktoś — jest dzisiaj przymusowa separacja małżonków. Mąż urzędnik wędruje z miejsca na miejsce, przesiedla się, niezawsze zgodnie z własną wolą. Żona z dziećmi mieszka gdzieindziej. Trudno i niebezpiecznie ruszać ją z miejsca, jeżeli wogóle ma gdzieś dach nad głową. Na tem rozłączeniu małżonków życie rodzinne i w pojęciu kościelnem i społecznem i prawnem niesłychanie cierpi. Rozprzęga się ustrój domowy, szwankuje wychowanie dzieci, słabnie życie towarzyskie. Niekiedy oboje małżonkowie są naprawdę wierni sobie. Bywa i inaczej. Długotrwała separacja, zwłaszcza gdy ludzie są młodzi,

Pierwsza konferencja p. Prezydenta Ministrów Grabskiego z nowym ministrem S. Z., hr. Maur. Zamoyskim.

Fot. Saryusz Wolski.

W dniu 8 b. m. przybył do Warszawy świeżo powołany do steru Ministerstwa Spraw Zagranicznych Maurycy hr. Zamoyski, dotychczasowy poseł Rzeczypospolitej Polskiej w Paryżu. Już w parę godzin później hr. Zamoyski odbył dłuższą konferencję z p. Grabskim. Tę właśnie naradę dwóch mężów stanu, którzy w obecnej chwili przełomowej kierują nawą Rzeczpospolitej, udało się wysłannikowi „Świata“ sfotografować.

---

pełni temperamentu, stwarza pokusy niemal nie do przezwyciężenia. Można tu znaleść podłoże niejednego małżeńskiego dramatu.

— — — — — — — —

Fatalne warunki mieszkaniowe, wytworzone przez czas powojenny, narzucają ludziom najdziwniejsze nieraz mieszkaniowe sytuacje. Sądowe kroniki notują niejednokrotnie bardzo charakterystyczne fakta. W dom poczciwej rodziny wprowadziła rekwizycja sublokatora, który uwiódł panią domu i rozbił gniazdo rodzinne. Czasem kończy się taka historja tylko rozwodem; czasem pogotowie ratunkowe zabiera trupy.

Ustawa o rekwizycji mieszkań, najzacniejsza w intencjach, zatrzęsła jednak niejednokrotnie bardzo poważnie podstawami życia rodzinnego.

— — — — — — — —

Kwestja mieszkaniowa wytwarza sytuacje wprost nieprawdopodobne, operetkowe. Znam rozwiedzione małżeństwa, które mieszkają obok siebie przez ścianę, a czasem i w tymsamym pokoju, ponieważ — mimo zerwania węzłów sentymentu — łączą je jeszcze węzły posiadania mieszkania.

Współczynnik mieszkaniowy jest w dzisiejszych powojennych stosunkach bezwarunkowo czynnikiem oddziaływującym destrukcyjnie na życie rodziny.

St. I.



„PON SIĘ NAJMA".

Artykuł p. Baranowskiego p. t. „Tragedja inteligencji", zamieszczony w Nr. 5 „Świata" wywołał żywy oddźwięk wśród kół sejmowych i szerokich rzesz czytelniczych naszego pisma. Oddźwięk ten wyraził się w licznych listach do redakcji oraz w poważnym artykule posła Bł. Stolarskiego, b. ministra.

W № 5-tym „Świata" czytamy artykuł p. Wojciecha Baranowskiego p. t. „Tragedja inteligencji".

Godzę się najzupełniej z p. W. B. co do tragicznego położenia naszej inteligencji pod względem jej spraw gospodarczych i twierdzę, że potrzeba wszystko zrobić, aby tragizm ten został usunięty, aby dać możność bytowania sferze inteligentnej tak, jak przystoi na naród kulturalny.

Do zabrania w tej sprawie głosu zmusił mnie końcowemi ustępami swego artykułu p. W. B.

Biorąc pod uwagę zdanie wyraźnie złośliwe, wypowiedziane pod adresem warstwy chłopskiej: „Pon się najma", zdanie nie wiem przez kogo i gdzie poczęte, co może p. W. B. zechciałby łaskawie mi wyjaśnić? Ale twierdzę, że gdyby nawet tego rodzaju zdanie miało miejsce, to popierwsze: Powiedzieć go mógł przywódca chłopski inteligentowi, który nieszczerze do niego się przymilał, ale za to w interesie zdobycia mandatu poselskiego lub dobrze płatnego stanowiska urzędniczego. A powtóre, z artykułu p. W. B. wynika, że autor nie wie, jakie trudności pokonywać muszą ci, którzy niosą do ludu kaganek wiedzy i budzą dusze uśpione. Tam dla nich nie przycinki „Pon s ę najma", ale niekiedy stokroć więcej trujące pigułki zjadać muszą z tem przeświadczeniem, że one dla nich nie są ani szkodliwe, ani przykre, ale nawet bardzo smaczne, bo zaspakajają ich ideały. Zdanie Mickiewicza: „Iść i w najcięższą służbę ludowi".

Czy człowieka inteligentnego a posiadającego odrobinę idei dźwignięcia społeczeństwa naszego do wyżyn, mają powstrzymać zdania: „Pon się najma"?.

Stokroć więcej niesłuszne a nawet bolesne stało się to, że p. W. B. dopatruje się w masie chłopskiej ogromnego dorobku i zalicza tę warstwę do warstwy szlacheckiej i kupiecko-przemysłowej.

Niech mi na tem miejscu wolno będzie zapytać p. W. B. i wszystkich tak samo myślących inteligentów: — Czy 90% chłopów posiada w obecnym czasie futra? a nawet kożuchy? Czy ma odpowiednie obuwie? Czy leczy swe żony? Czy jeździ na wypoczynek? Czy ma dostęp do szkół średnich i wyższych? Czy wogóle ma możliwe warunki do uczenia dzieci? A jaki procent dzieci chłopskich korzysta ze szkół państwowych? Przecież 90% chłopów jeszcze do tej pory nie korzysta z teatru, z zebrań kulturalnych, które i dla niego jako dla człowieka być muszą.

Twierdzę to z całą stanowczością, że chłop naogół żyje w takich warunkach — przeszłość mu je takie stworzyła, a niestety teraźniejszość utrwaliła. — Czy p. W. B. miałby odwagę dowieść owe wysokie wzbogacenie się chłopa? Może, że leży na kupie pieniędzy? A może ma sienniki wysłane markami lub dolarami? Proszę tylko o fakta, a nie o frazesy bezpodstawne.

Ubolewa p. W. B., że stronnictwa inteligentów przepadły i że bez należenia do stronnictw istniejących nie przejdzie inteligent do Sejmu.

Ale patrząc na tę sprawę z punktu widzenia społecznego i państwowego, musimy przyznać, że to jest zupełnie słuszne.

Czy to nie na samolubstwo by zakrawało, gdyby inteligencja oddzieliła się od większości Narodu? Przecież w interesie Narodu jest, aby całość jego posiadła rozwój intelektu.

Mniemam, że p. W. B. wrodzoną swoją inteligencje rozwinął i pogłębił dzięki osiągniętej wiedzy. Czy nie należy wrodzonej inteligencji wśród ludu również rozwijać i pogłębiać przez szerzenie wiedzy — ów „kaganek oświaty"?

Czy idąc po linji wywodów p. W. B. wytworzymy miłość bratnią w narodzie, a tem samem i siłę narodu, i czy ścierać będziemy z niego krańcowość i stronniczość?

Dopokąd na powyższe pytania nie będę miał uzasadnionej odpowiedzi, to będę zdania, że inteligenci, którzy trzymają się na uboczu i nie biorą udziału w życiu społecznym i dźwiganiu Narodu, muszą pozostać pionkami więcej upodobnionemi do maszyny spełniającej pewne funkcje w rękach takiego lub innego kierownika, który ją tak oliwi, jak to uważa za stosowne do celów swoich i nie mogą mieć pretensji, iż są traktowani jako będący poza nawiasem zdrowego rozwoju organizmu Państwowego.

Zdaje mi się, że dopóki inteligent polski nie spełni powinnej misji oddania ludowi—masom szerokim—osiągniętej przez się z wysiłku swego społeczeństwa wiedzy, oraz rozwoju i pogłębienia wrodzonej inteligencji ludu, to nie będzie stał na wysokości obywatelstwa polskiego.

Błażej Stolarski
poseł na Sejm.

Uprzejmość Redakcji „Świata" i autora powyższego artykułu pozwoliła mi zapoznać się z wywodami jego w rękopisie. Stąd mam możność odręcznej repliki. Oto ona: Panie Pośle—zaprawdę nigdy nie „przymilałem się" z tym albo innym zamiarem żadnemu przywódcy żadnej partji ludowej. Wyrazy „pon się najma", charakteryzujące nieufność chłopską w stosunku do garnącego się nawet do współpracy z ludem inteligenta, usłyszałem od człowieka wielce miarodajnego w tym względzie, zresztą niezmiernie szanownego, najzupełniej przypadkiem przed kilku laty w rozmowie szczerej i od wszelkich pobudek osobistych wolnej. Przypomniały mi się one, kiedym ogarnął myślą całość poważnego problemu, będącego tematem mych rozważań.

I zastrzeżenia Pana—powagi zagadnienia tego nie zmniejszyły. Pragnienie wzięcia udziału w życiu politycznem Polski „inteligencji" — pozostanie faktem, równie jak negatywny stosunek do tego pragnienia dzisiaj rządzących mas. Nie wiem, kto pierwej sytuację tę poważną zrozumie i powie sobie: bez mózgu Polski rządzić Polską niesposób. Czy to będzie p. Witos, p. Dąbski, czy p. Thugutt... Nie wiem także, czy którykolwiek z nich pojmie—tak jak należy—że „inteligencja" nie na każde się zgodzi warunki i zechce swoje postawić, ludowi polskiemu, napewno nie mogące przynieść nic prócz pożytku. Ale to wiem — że do tej chwili żaden z kierunków ludowych nie pow edział wyraźnie, że kto chce budować nową Polskę, ten nie może

wyłączyć od tej roboty najdojrzalszych... Ucieszyłbym się, Panie Pośle, gdyby uwagi moje tylko o parę chwil wyprzedziły mądre i głęboko patrjotyczne poczynanie, z którego mógłby wyrosnąć znowu program: „z szlachtą polską polski lud", rozumiejąc w tym razie pod „szlachtą"—oczywiście szlachtę ducha. Kto most do przejścia ku sobie dwóch tych sił stworzyć potrafi—zasłuży się wielce Polsce. Może też będzie on tym, który ku powszechnej Narodu korzyści położy kres podniesionej przezemnie „tragedji inteligencji"... Dziś trwa ona jeszcze w całej pełni. Trwa ku szkodzie nas wszystkich, niestety. Proszę pamiętać jednak, że inteligencja polska przy wszelkich kompromisach pojęciowych i programowych paktach postawi zawsze ponad wszelkie hasła i ponad wszelkie cząstkowe interesy — jedno hasło i jeden program: interes Państwa, bo jeśli on w dalszym ciągu zapoznawany będzie—zginiemy wszyscy.

W. Baranowski.



INDJANIE W PARANIE.

Niema człowieka na Starym Lądzie, któryby w młodości nie zaczytywał się opowieściami Coopera, Mayne-Reide'a lub innych autorów, opiewających bohaterskie czyny synów Wielkiego Manitou. Mało jest jednak takich, którzy posiadają dokładniejsze wiadomości o tem, że Indjanie żyją jeszcze i dzisiaj, że istnieją prowincje, w których są oni postrachem, przejmują grozą spokojnych, białych kolonistów. A jednakże takich okolic na szerokim świecie jest jeszcze dużo.

Kraj, gdzie Indjanie są liczni i żyją w stanie pierwotnym — to przedewszystkiem Brazylja. Rzecz prosta, — nie ta Brazylja z wybrzeży oceanu Atlantyckiego, gdzie cywilizacja wyparła pierwotnych mieszkańców, a krajowi nadała międzynarodowe piętno, lecz ta z bezgranicznych puszcz Goyazu, Amazonas, Matto Grosso i wreszcie z zachodu Parany.— Tam pod osłoną nieprzebytych borów żyją liczne szczepy czerwonoskórych; wiele z nich jeszcze nie widziało nawet białego najeźdźcy.

Licznie osiedli polscy koloniści w Paranie niejednokrotnie stykali się i stykają z Indjanami. Kolonje nasze na Lucenie leżą tuż przy terenach dzikich i okrutnych Botokudów. Kolonje nad rzeką Ivahy są w pewnem miejscu przecięte przez „terrenos dos Indios" szczepu Cayusów. Zaś polacy zamieszkali nad Rio Cavernoso mają sąsiedztwo Dorinsów. Aczkolwiek Indjanie południowo-amerykańscy nie są tak wojowniczo usposobieni, jak ich bracia ze Stanów Zjednoczonych, tymniemniej jednak niema prawie nigdy roku w Paranie, aby nie nadchodziły trwożliwe wieści o ruchach czerwonoskórych.

W roku 1922 szczepy z nad rzeki Marrecas wyrzuciły mierników i urzędników przeprowadzających kolonizację, a przetrzepawszy skórę policji stanowej, zabroniły białym wstępu na swoje „tereny łowów".

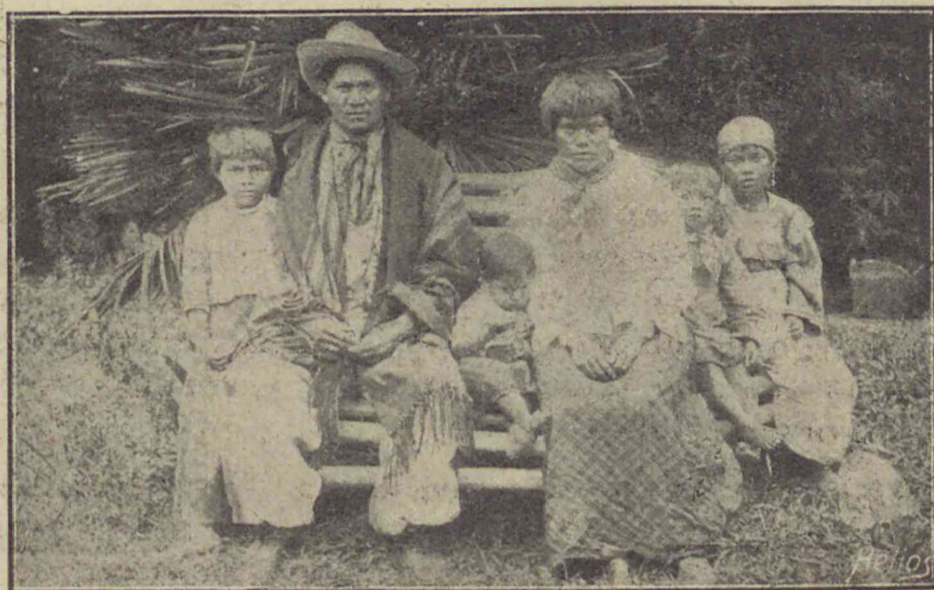
W marcu roku 1923 w m. Guarapuawie powstał nieopisany popłoch z racji powstania Kaingangsów i Cayuasów. Olbrzymia ilość samochodów zamówiona z Kurytyby (380 klm. odległości) i Ponta-Grossa wywoziła pospiesznie rodziny białych w bezpieczniejsze miejsca. Nieliczni koloniści i brazyljanie mieszkający w górach Serra do Pitanga uciekli, całe swe mienie zostawiając na pastwę losu. Wielu z nich zginęło, domostwa powstańcy spalili, bydło wyrżnęli i zjedli. Indjanie parańscy nie są zdolni wszakże do jakiejś szerszej akcji, również i tym razem zadowolnili się łatwym tryumfem i nie kusząc się o zdobycie miasta, zawrócili do swych legowisk w niezgłębionych i nieznanych puszczach nad Rio Pequiry.

W Paranie koczuje wielka ilość szczepów, z których najliczniejszemi są: Botokudzi, Kaingagsi, Cayuasi i Dorinsi. Rząd federalny opiekuje się nimi, wyznaczając tereny oraz utrzymując specjalnych urzędników przeznaczonych do ich cywilizowania. W tym celu zostały założone dwa osiedla nad rzeką Tibagy — Sao Jeronymo i Sao Pedro de Alcantara, gdzie rząd osadza indjan, dając im narzędzia i ziemie oraz wskazówki, jak ją uprawiać. Oprócz tych kolonji, specjalnie stworzonych, jest jeszcze mnóstwo tak zwanych „toldos", czyli zwykłych indyjskich wiosek, rozrzuconych po całej Paranie. W toldach mieszkają czerwonoskórzy, którzy są już nieco oswojeni z widokiem ludzi białych. Pomimo jednak tego, gdy odwiedzałem toldo Kaingangsów nad rzeką Irany, wszystkie kobiety, dzieci, a nawet pewna ilość mężczyzn uciekła „dla wszelkiej pewności" do lasu. Większość indjan parańskich żyje nie w toldach, lecz koczuje na zachodzie w olbrzymich lasach, zalegających dorzecza rzek: Iguassu, Pequiry, Ivahy i Tybagy. Dawniej tubylcy zajmowali cały kraj, był nawet czas, że Kurytyba, dzisiejsza stolica Stanu, jako mała jeszcze wioska zamieszkana przez białych, składała sąsiedniemu kacykowi daninę. Dzisiaj indjanie uciekają z miejsc zaludnionych, przenosząc się coraz dalej w lasy. Ale puszcz jeszcze w Paranie nie brakuje—wiele lat upłynie, nim czerwonoskórzy zostaną przyparci do wielkiej rzeki Parany i zmuszeni przenieść się do olbrzymiego i bezludnego Stanu Matto Grosso, sześć razy większego od całej Polski wraz z Kresami, lecz mającego mniej ludności, niż jedno miasto Lwów.

M. B. Lepecki.



Indjanie ze szczepu Coroados.



Rodzina indyjska ze szczepu Guarany.



Klub Błękitny przy ul. Szarej. Pląsy.

KLUB BŁĘKITNY

dla dziewcząt pracujących, Polskiego Stowarzyszenia Młodych Kobiet.

Zimno, ponuro, brzydko. Po źle oświetlonej Czerniakowskiej brnę w błocie. Jakiś smutek lęgnie się w duszy, jakaś beznadziejność szara mota się wkoło mnie, jak długa pajęcza nić — „Poco tam idę, poco obiecałam, że przyjdę?"

— Czy blizko Szara ulica.

— Pierwsza naprawo, odpowiada jakiś głos i zgarbiona postać, przygnieciona troską codziennego życia, idzie szybko dalej, nie oglądając sią poza siebie.

Szara № 1. Tak, to tu. Wchodzę w podwórze, ale gdzie dalej? Dwuch chłopców bije się, przeraźliwie wrzeszcząc, jakieś dziecko płacze żałośnie. Stoję stracona, bezradna.

— Pani do Błękitnego Klubu, pyta młody dźwięczny głosik. To tu na prawo pierwsze drzwi.

— Panienka chodzi do klubu?.

— O tak, chodzę, ale dziś nie nasz dzień, dziś grupa starsza się zbiera. Nasza nazywa się „Przyszłość".

Wchodzę, i oczy moje, oswojone z mrokiem ulicy, mrużą się od blasku. Duża jasna sala, sporo swojskich obrazków na ścianach, reprodukcje Stachiewicza, wyhaftowany Orzeł Biały na amarantowem tle, Krucyfiks, Matka Boska. Wokoło biegnie szlak łowicki. — Malowany przez jedną z naszych członkiń, mówi mi z uśmiechem kierowniczka. Nasze dziewczęta kochają klub i zdobią go z zapałem, szczególniej na uroczystości klubowe: na obchód rocznicy, powitanie grupy, wieczory dla matek, gwiazdkę dla sierot. Ile Klub Błękitny liczy grup, pytam. Tyle, na ile nam szczupłość lokalu pozwala. Cztery grupy starsze od 18 lat zbierają się w poniedziałki, wtorki, środy i czwartki wieczorem, 3 młodsze w piątek i sobotę wieczorem i wtorek po południu. Pozatem klub jest otwarty od 4—5 dla dziatwy szkolnej, która tu przychodzi odrobić swe lekcje.

Na sali robi się coraz gwarniej, cochwila ktoś przybywa. Wesołe powitania, radosne okrzyki.—Wiesz,—słyszę, jak mówi jedna, — nie pamiętałam, jaki to dzień dzisiaj, z fabryki wracam do domu, a matka mi mówi — to nie idziesz dziś do klubu? — tak się ucieszyłam, że to nasz wieczór dzisiaj.

Ich wieczór — tak, tutaj są „u siebie". Rozprostowują członki po całodziennej żmudnej pracy, pierś swobodnie oddycha. Czy tylko to? — Na czem polega właściwa organizacja i ideologja klubowa? — pytam kierowniczki, zajętej witaniem wchodzących.

— Przejdźmy do kancelarji, pokażę pani statut i objaśnię.

Kancelarja mała, przytulna, szafę z książkami, biurko kierowniczek, pary fotelików plecionych, sofka. Czytam statut i uderzają mnie słowa proste a z taką prawdą i siłą wyrażające cel klubowy: stworzenie idealnego typu chrześcijanki i Polki. Samopomoc bratnia. Łączenie kobiet w służbie dla Polski.

Kierowniczka jest już znów na sali, otoczona, czynna, z tym jasnym dobrym uśmiechem, który zauważyłam na wstępie. Widzę, jak złote nici wzajemnego zrozumienia i zaufania snują się między nią a otaczającemi ją dziewczętami, jak dużo mają sobie do powiedzenia.

Przybywa ich coraz więcej. Przeglądają pisma, gawędzą, garstka koło pianina śpiewa jakąś ładną piosenkę.

Wieczór upływa szybko i sprawnie.

O kwadrans na dziewiątą zebranie, które prowadzi prezeska z całem uwzględnieniem metod parlamentarnych. Sekretarka odczytuje sprawozdanie, barwnie odmalowujące poprzedni wieczór klubowy. Po zebraniu, trwającem kwadrans, siwa pani, witana przez dziewczęta z szacunkiem i radością, mówi o Sienkiewiczu jako o wielkim patrjocie, podkreślając jego wzniosłe zapatrywania na kobietę-Polkę. Po pogadance robi się znowu gwarno na sali. Organizują się gry, przeplatane tańcami. Biorę w nich udział, wciągnięta w wir wesołej zabawy, która zda się wszystkich ogarniać.

Daleko odbiegają kłopoty i troski, świadomość ciemnej zabłoconej ulicy, po której chadza nędza......

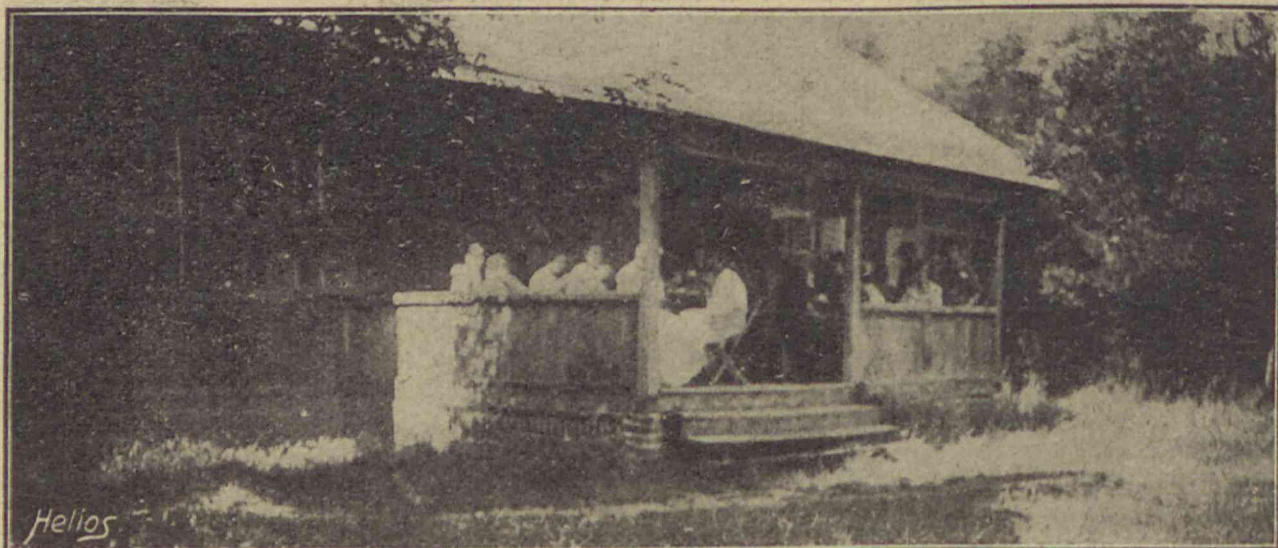
Jest jasno i dobrze wśród młodych uśmiechniętych twarzy, którym przez ten jeden jedyny wieczór przypięto skrzydła do ramion.

Nie, nie żałuję, że tu przyszłam i będę często powracać z otuchą w duszy, z wdzięcznością w sercu dla tych, które rozpaliły tę jasną pochodnię światła i kultury, które w tej ciepłej atmosferze przyjaźni i wzajemnego zaufania kształtują dusze dziewczęce dla Ojczyzny i Boga.

Rozbrzmiewają dźwięki „Roty". To zwykłe zakończenie wieczoru. Dziesiąta godzina. Żal opuszczać progi Błękitnego Klubu. Prześniłam w nim na jawie złoty sen o realizacji cząstki ideału w życiu.

Helena Sołtanówna.

Warszawa, styczeń 1924 r.



Letnisko „Błękit" w Rybniku.

Koszmar sporów orjentacyjnych podczas wojny: Głośny proces Al. Lednickiego przeciw red. Z. Wasilewskiemu.

Rysował specjalnie dla „ŚWIATA" art. mal. Z. Grabowski.



Komitet sądzący, złożony z sędziów Pęskiego, Dudy i Świątkowskiego, wydał wyrok o brzmieniu następującem: Aczkolwiek red. Wasilewski nie przeprowadził dowodu prawdy co do zdrady głównej Lednickiego i chęci jego ucieczki po za granice kraju, to jednak Wasilewski miał dostateczne podstawy do uważania rozgłoszonego zarzutu za prawdziwy i wobec tego postanowił uniewinnić Zygmunta Wasilewskiego.



Aleksander Lednicki podczas zamknięcia obrad powiedział: „Chcę stwierdzić, że nie wiem, jakbym postąpił, gdy w swoim czasie cała ta napaść się na mnie dokonała, gdyby nie mój długoletni i intymny stosunek do istoty sądu, jako nietylko do organu wymierzającego sprawiedliwość, ale i jako do tego źródła moralności publicznej, z którego płynie prawda i sprawiedliwość do społeczeństwa".



Ks. arcybiskup Ropp w sprawie p. Lednickiego zeznał: „Do komisji dla spraw kościoła katolickiego i ja należałem. W komisji tej wypracowaliśmy statut zupełnej autonomji kościoła katolickiego w Rosji, takiej autonomji, że można sobie życzyć, aby ona istniała w Polsce. P. Lednicki doprowadził do tego, że w ciągu 2 tygodni statut ten został zatwierdzony".



Z. Wasilewski w obronie swej podkreślił: „Wiem, że mój zarzut jest straszny. Ale moje prace stworzyły ze mnie miarodajnego kwalifikatora życia społecznego. Jako czynny publicysta wyczułem, że niema w Lednickim instynktu prawdziwego twórcy życia narodowego, że za wszystkiem kryje się afera. Musiałem przed nim więc ostrzec społeczeństwo.



Adw. Śmiarowski, rzecznik oskarżyciela.



Adw. Zabłocki, rzecznik oskarżonego.







Charakterystyczne postacie z pośród świadków.

TEATRY WARSZAWSKIE.

Teatr Polski: *„Lekkomyślna siostra" Perzyńskiego.*

Komedja Perzyńskiego była zawsze—nawet w okresie swej niezaprzeczonej popularności — transpozycją dulszczyzny na stosunki warszawskie. Zapolska pisała swą klasyczną komedję z bojowym temperamentem i nienawiścią, Perzyński jest subtelniejszy w rysunku, unika jaskrawości, a w satyrze jest raczej pojednawczy i kompromisowy. Nigdy nie oburzał go stosunek Heleny Topolskiej do lekkomyślnej bratowej; traktował te rzeczy lekko, od strony niezaspokojonego erotyzmu i żądzy użycia, rozumując słusznie, że nagła zmiana w sytuacji materjalnej „lekkomyślnej siostry" wpłynie na ewolucję światopoglądu przezacnej rodziny Topolskich.

Komedja Perzyńskiego była zawsze satyrą obyczajową, a moralne zagadnienia pozostawiała na uboczu. Dzisiaj i to podłoże obyczajowe przestało bić w oczy swą niezwykłością i perfidją. Satyra na rodzinę Topolskich stała się najzwyklejszą sprawą chybionej spekulacji finansowej, a ostrze sytuacji zwróciło się przeciw nawróconej grzesznicy, która nie umiała — dla jakichś tam frazesów — wyzyskać korzystnej dla siebie „konjunktury".

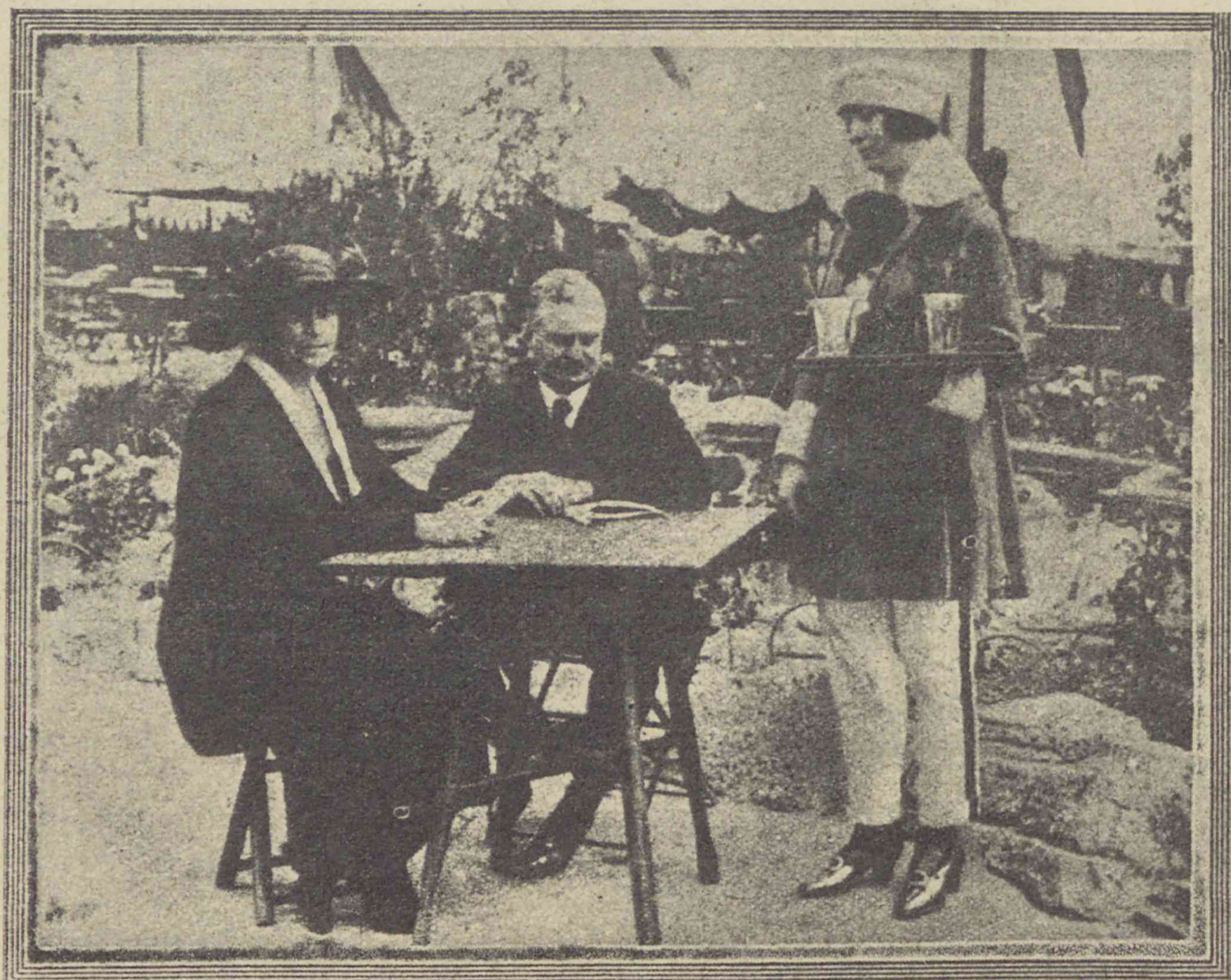
Po upływie kilkunastu lat komedję Perzyńskiego można czytać tylko a rebours.

Wznowienie w teatrze Polskim było świetnym tryumfem p. Ćwiklińskiej w roli Heleny Topolskiej. O typie gry tej najpierwszej u nas artystki pisaliśmy niejednokrotnie. Cechuje ją najgłębsze i najbardziej suggestywne wyczucie człowieka. Pani Ćwiklińska ciągłość urojonego życia stwarzanej przez siebie postaci przeprowadza z demoniczną konsekwencją; sposób prowadzenia djalogu, nieprzerwana obecność, siła reakcji uczuciowej, napięcie gestu, swoboda i szczerość wyrazu, — wszystko to sprawia, że kreacja aktorska staje się personifikacją typu, że — jak np. w „Lekkomyślnej siostrze" — Helena Topolska przejdzie w tradycji teatru jako uplastyczniona wizja p. Ćwiklińskiej.

Emil Breiter.



Nowy strój kelnerek w Londynie.



Kelnerki w kawiarniach angielskich usługują w kostjumach męskich.

NOWE WYDAWNICTWA.

WĘGRY.

Polska mocarstwowa musi wyjść z ciasnego podwórca biadań, rekolekcji, żalów. Zadanie nasze streścić się winno w dokładnej znajomości sąsiadów, ich tendencji politycznych, zasobów materjalnych, technicznych i duchowych. „Świat" ważną tę pracę informacyjną przedsięwziął natychmiast po ukonstytuowaniu się naszego państwa. W szeregu numerów specjalnych sine ira et studjo daliśmy materjały do poznania tych państw sąsiedzkich. Czytelnicy nasi otrzymali zeszyty poświęcone Czechom, Węgrom, Austrji, Łotwie, Estonji, Finlandji i Rumunji. Zeszyty te miały wskazać nietylko na drogi polityczne, ekonomiczne i kulturalne tych narodów, winny też ukazać właściwe perspektywy naszej koordynacji i kooperacji politycznej. Im jednak więcej materjałów tego rodzaju ukazuje się w Polsce — tym lepiej jest dla sprawy, tem wszechstronniej można ważne to zagadnienie rozważyć.

Z prawdziwą więc satysfakcją powitać należy książkę prof. dr. Jana Dąbrowskiego pt. „Węgry", będącą rzeczowym przewodnikiem w splocie problemów, związanych z narodem węgierskim tak przed wojną, jak i po wojnie. Zapewne nie wszyscy czytelnicy podzielą końcowe wywody prof. Dąbrowskiego. Nie o to chodzi. Książka, jako materjał informacyjny, jest pierwszorzędna. 3 mapy i 13-cie ilustracji oraz bogactwo cyfr statystycznych prowadzą do wniosków i refleksji myślącego czytelnika bez względu na sympatje i orjentacje. Swiadomość dróg oddziaływania politycznego i umacniania naszych wpływów przez książkę tę wzrość może bardzo skutecznie i poważnie. Dobrze jest, gdy gracz zna wszystkie karty, jakiemi może szermować. Sprawa węgierska jest bardzo poważną kartą polityczną dla Polski.

Śląska Akademja Muzyczna.



Prof. ROBERT POSSELT, znany w kraju i za granicą artysta-muzyk i pedagog, został powołany na profesora kursów wyższych i najwyższych do „Śląskiej Akademji Muzycznej" w Katowicach.

Nieznane plemie murzyńskie „Dazzagadda", żyjące wśród piasków Sahary.



Młoda księżniczka plemienia Tuaregow.



Kobieta z ozdobą nosa z plemienia „Dazzagadda".



Dziewczę „z buzią jak malina" z plemienia „Ferrouan".

Wśród piasku Sahary kapitan Buchanan i porucznik d'Ussel odkryli nowe nieznane plemię murzyńskie, zwące się „Dazzagadda". Podróżnicy ci uważają, iż plemię to jest spokrewnione obyczajowo z Tuaregami. Arabski ten szczep wyróżnia się swojemi obyczajami. Mężczyźni mają twarze zasłonięte, a kobiety odsłonięte. Nie wychodzi to na złe kobietom plemienia „Dazzagadda". Większość ich posiada ponętne rysy twarzy, a niektóre są, podobno, nawet piękne.

Ostatnie polowanie na słonie w Sjamie.

Król Sjamu rok rocznie urządzał wielkie polowanie na słonie, tak zwany „Kheddach". Polowanie takie było bardzo kosztowne. Wymagało, by udział w niem wzięli liczni ludzie, a nawet oswojone słonie. Wpuszczano je w stado słoni, na które polowano. Później krzykiem i rozpalonemi ogniskami wypłaszano z kniei leśnej, kierując w stronę miejscowości ogrodzonej wysokim płotem z mocnego budulca. Długie tyki, zaostrzone lub nabite ostremi stalowemi kończynami, służyły do ogromadzania biegnących zwierząt, by się nie rozpraszały po polach.

W roku bieżącym król Sjamu po raz ostatni obchodził swój „Kheddach". Zwyczaj ten musi uledz zmianie na przyszłość, gdyż nie pozwalają na to finanse państwa i nowy demokratyczny zachodni europejski sposób myślenia obywateli Sjamu.

„Czerwona Rosja".



Elegantki bolszewickie u fryzjera *(„Le Rire")*.

ŻYCIORYS ROBOTNIKA POLSKIEGO.

Jak doszedł do fortuny i do poważania u ludzi Władysław Berkan.

Instytut socjologiczny w Poznaniu rozpisał konkurs na życiorys robotnika polskiego. Autobiografja odznaczona miała stać się probierzem stosunków, jakie w tym względzie panują teraz i panowały ongiś w naszym kraju. Miała też być miernikiem psychologicznych wartości naszego robotnika.

Poza konkursem wyróżniono biografję znanego przedsiębiorcy krawieckiego z Berlina Władysława Berkana, który o własnych siłach wydostał się na wierzch tak w pracy swojej zawodowej, jak i w życiu publicznem. P. Berkan jest osobistością popularną w Polsce. Popularność tę zdobył w Berlinie, gdzie od lat 30, mając zakład krawiecki, udzielał kredytu młodzieży uniwersyteckiej i to właśnie uczyniło go powszechnie znanym, cenionym i często... unikanym. Zasługi jego w ubieraniu młodzieży były tak wielkie, iż śpiewać je poczęła nawet piosenka z dorocznej szopki berlińskiej. P. Władysław Berkan wyróżniał się też wśród kolegów robotników polskich w Berlinie swojem uspołecznieniem i zdolnościami oświatowo-kulturalnemi. Przewodniczył on w różnych towarzystwach i zrzeszeniach polskich. Zabierał głos prawie na każdym większym wiecu. Był chorążym obozu narodowo-klerykalnego. Pracą, sprytem, zmysłem organizacyjnym przyszedł do majątku i poważania.

Życiorys jego jest ciekawy z różnych względów. Przedewszystkiem zaś dlatego, iż głosił hasło pracy bez zastrzeżeń. P. Wł. Berkan potrafił pracować przez całe lata po kilkanaście godzin na dobę. Nie szkodziło mu to wiele na zdrowiu, aczkolwiek jest on człowiekiem słabej konstrukcji fizycznej. Praca towarzyszy jego życiu od dzieciństwa niemal. Ledwie bowiem podrósł, już go ojciec oddał do terminu do krawca. Życie terminatora krawieckiego na wsi nie jest idyllą. P. Wł. Berkan te chwile wspomina sobie z humorem, podchwytując różne obyczajowe niezwykłości.

Pozatem interesuje w tej biografji ton pewności siebie. Przesądza on zgóry różne wypadki i sprowadza powodzenie. Taki ton spotyka się tylko w biografiach amerykańskich miljarderów. P. Berkan, jak i oni, potrafi sobie świetnie radzić z dłużnikami. W tym względzie rozwinął nawet spryt pierwszorzędny. Lwią część jego książki zajmują właśnie wspomnienia z tych jego czynności. Kredyt dawał łatwo, ale nie darowywał nikomu długu. Nie wzruszały go wcale sławy literackie. Dłużnik na każdym szczeblu społecznym był tylko dłużnikiem i p. Wł. Berkan swoje przywileje w tym względzie znał z każdego punktu widzenia dobrze. Szczególnie prawodawstwo niemieckie kredytowe było p. Berkanowi busolą niezawodną w rewindykowaniu pretensji.

W książce życiorysowej i strona polityczna zaciekawia. P. Berkan w wielu kwestjach współpracował z politykami poznańskimi, aczkolwiek trzymał się zdaleka od posłowania. Jak widać ze wspomnień osobistych, p. Berkan był w przyjacielskich i blizkich stosunkach z księdzem Wawrzyniakiem. Opowiada więc o tym dobrym genjuszu dzielnicy wielkopolskiej wiele ciekawych szczegółów, które w przyszłości mogą się stać materjałem biograficznym dla poczynań tego wielkiego pracownika na naszej niwie społecznej.

P. Wł. Berkan mówi o sobie, że zna się cokolwiek i na wydawnictwach, gdyż przez jakiś czas należał do konsorcjum, które finansowało „Dziennik Berliński". Zastrzega się, że nie lubi pisać, ale od czasu do czasu cytuje swoje artykuły.

Koresponduje w różnych pilnych sprawach.

Życiorys p. Berkana mówi jeszcze teoretycznie o oszczędzaniu. Sam biograf jednak zbytnio nie skąpił sobie. Lubił wypić bombkę piwa w dobrem towarzystwie. Nie żałował sobie też na podróże. Chwali się swojemi garniturami „nicejskiemi", ale równocześnie opowiada, iż ma czas na regulowanie sporów, wyrównywanie różnic między mieszkańcami Poznania.

P. Berkan nie byłby sobą, gdyby przy sposobności nie wyłożył całego swojego poglądu na świat. Mamy więc w jego książce nie tylko wydarzenia, ale i poglądy na różne sprawy, jak kobiece, żydowskie, robotnicze i t. d.

Biografja ta miała służyć instytutowi socjologicznemu do jego badań. Mamy wrażenie jednak, że przedewszystkiem powinna zaciekawić młodą generację robotniczą. Zapewne między poglądem pana Berkana a przekonaniami młodej generacji powstanie rozdźwięk. Wyrówna się on jednak po refleksji. Szersze grono ludzi zaciekawi ta strona obyczajowa jego życiorysu.

F.



Zawody łyżwiarskie o mistrzostwo Warszawy.

Miłośnicy łyżwiarstwa w sezonie bieżącym mają możność użycia tego sportu. W „Dolinie Szwajcarskiej“ rozegrały się zawody o mistrzostwo okręgu warszawskiego. Dały one rezultat: Bieg na 500 metrów pojedyńczy na czas lotnego startu. Pierwszym przybył Mehring (1 m. 2.8 sek.), drugi Michalski (1 m. 3.2 sek.). Bieg na 500 metrów po dwóch na czas. Pierwszy przybył Mehring (3 m. 36.8 sek.), drugi Michalski (3 m. 42.8 sek.). Bieg na 500 metrów. Pierwszy Mehring (14 m. 18.8 sek.), drugi Grott (14 m. 19 sek.). Zowody hockeyowe na lodzie A. Z. S. contra Warszawianka 14:0; 3:3; A. Z. S. zawdzięcza swą przewagę najlepszemu graczowi p. Rybakowi. Niebawem odbędą się zawody łyżwiarskie o mistrzowstwo Polski.



Start biegu na 5000 metr.



Walka na finiszu: Mehring (W. T. Ł.) zwycięzca. II miejsce Michalski.

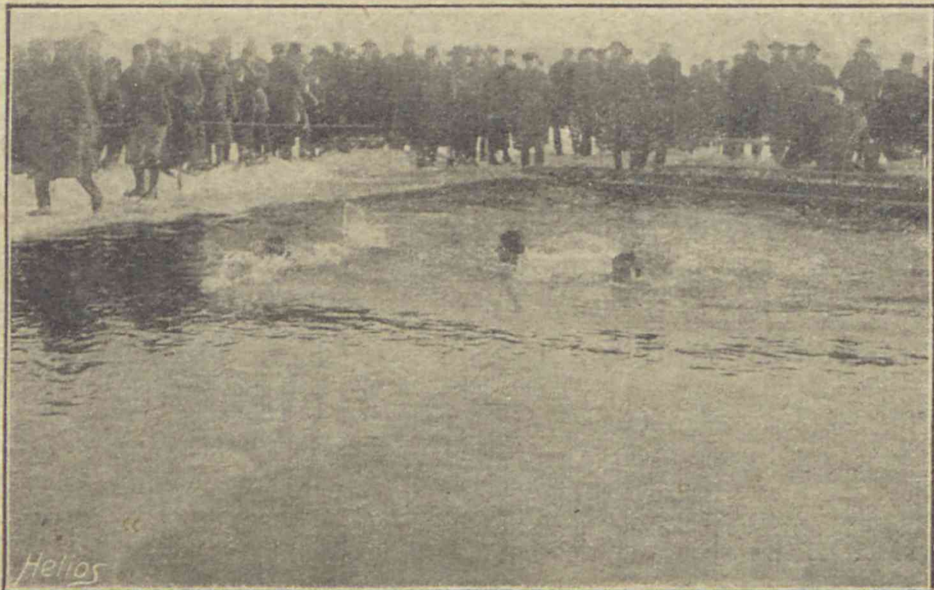
Fot. Wacław Rokosz.

Zawody sportowe w Chamonix.



W Chamonix w roku bieżącym rozegrały się zawody sportowe. Plac tych zawodów pokazuje nasza ilustracja. Oprócz zwykłych popisów i zawodów łyżwiarskich odbyły się biegi na nartach, w których wzięli udział i przedstawiciele Polski. Do konkursu stanęło 64 uczestników. Największe zaciekawienie wywołał 18-o kilometrowy bieg na nartach. Śród pierwszych 15 współzawodników było 4 norwegów, 3 irlandczyków, 4 szwedów, 2 włochów, 1 czechosłowak i 1 szwajcar. Bujak zajął 28 miejsce, przebywając przestrzeń w 1 godz, 42 min. 13 sekund. Krzeptowski zajął 29 miejsce, przebywając przestrzeń w 1 godz. 43 min. 2 sek.

Wyścig pływacki w Warszawie.



Przy 8-u stopniach mrozu a wody 0 na przestrzeni 30 mtr. w ciągu 20 sek. przepłynęli panowie: Olszewski, Grosglik i Chłodziński. Fot. Sarjusz Wolski.



Panna E. Garczyńska przy 8-u st. mrozu a wody 0—przepłynęła 30 mtr. w ciągu pół minuty nagrodzona oklaskami

REFLEKSJE KARNAWAŁOWE.

Nic tak człowieka nic uspasabia do refleksji, jak karnawał. Kilka przetańczonych wieczorów czyni z najweselszej kobiety głęboką myślicielkę; dwa rauty urozmaicone tańcami i kolacją pasują — na doktorkę filozofji. Wniosek: kto się bawi, ten się uczy.

Pewien doskonały tancerz powiedział mi na ostatnim balu doskonały dowcip na temat, co było dawniej i co jest teraz szczytem naiwności:

„Dawniej panny były tak naiwne, że myślały, iż matki ich są dziewicami po ślubie. Dzisiaj matki są tak naiwne, że myślą, iż córki ich są dziewicami przed ślubem“.

Wątpię jednak, czy od „dawniej“ do dziś zmieniły się kobiety tak bardzo. Śmiem nawet twierdzić, że kobiety (są to refleksje karnawałowe) zmieniły się niewiele.

Natomiast zmienili się mężczyźni.

Zaczynam od *klasyfikacji*. Dawniej były dwie kategorje mężczyzn: żonaci i kawalerowie.

O żonatych mówiło się, że są stateczni lub ustatkowani, że zarabiają lub nabierają, że zdradzają, lub są zdradzani. Kawalerowie nadawali się, lub nie nadawali do ożenku.

Teraz prócz kawalerów i żonatych są rozwiedzeni, powtórnie ożenieni, powtórnie rozwiedzeni.

I *zawody* zmieniły się bardzo. Dawniejszy „wieczny student“ nie mógł ukończyć pracy dyplomowej, bo nie miał pieniędzy, lub był zaangażowany politycznie. Teraz — jest także zaangażowany na giełdzie, handluje antykami, ewentualnie manufakturą, ma pieniądze i czas.

Dawniej poeta nosił krawatkę, zwichrzoną czupurynę, ideały, trochę bakcyli tuberkulicznych na wszelki wypadek, i cierpiał za ojczyznę lub przez kobiety. Dziś cierpi na kamienie żółciowe i jeździ do Karlsbadu.

Dawniej przemysłowiec był nie w ciemię bity. Dzisiaj jest bity nie w ciemię...

Dawniej malarz malował, dzisiaj się podpisuje.

Zasady *gościnności* różnią się teraz także od poprzednich. Dawniej pan domu starał się bawić swoich gości, mężczyzn podejmował winem, panie — czekoladkami, i bawił rozmową. Teraz pan domu tylko u siebie czuje się gościem. W dodatku nudzi się. Więc pod pretekstem, że dał kolację, po której doktór kazał mu spacerować przez pół godziny, idzie na maskaradę.

Dawniej gospodarz domu częstował gości i prosił, żeby jedli a pili. Teraz prosi o mniejszy pośpiech.

Dziwne refleksje nasuwa także *stosunek do dam*, oczywiście w karnawale.

Dawniej mężczyzna był tak zaabsorbowany flirtem, że podczas kolacji nie odróżniał indyczki od cielęciny. Dzisiaj o każdej damie mówi cielęcina, a irytuje się, jeżel nie dostali indyczki.

Dawniej po tejże kolacji prosił panią o walca. Dzisiaj prosi o — sodę.

Dawniej na balu młodzi ludzie emablowali mężatki, a ludzie żonaci pragnęli uchodzić za kawalerów. Bawił się każdy, jak mógł. Dzisiaj młodzi ludzie opowiadają pannom pieprzne anegdoty, a ludzie żonaci waloryzują.

Dawniej mężczyzna rozwiedziony nie pokazywał się w karnawale, wyjeżdżał na Rivierę lub do majątku i może cierpiał. Dzisiaj goli wąsy lub zapuszcza brodę, ażeby go, broń Boże, nie poznała żadna z przyjaciółek żony... i idzie flirtować.

Dawniej mąż wybaczał żonie wiarołomstwo, o ile oczywiście towarzyszyły łagodzące okoliczności. To było bardzo szlachetne i wzruszające. Dzisiaj mąż, chętnie, wydaje swą żonę za przyjaciela, a potym emabluje ją. To jest także wzruszające i wygodne.

I w *polityce* działo się inaczej. Dawniej poświęcał się dla polityki. Teraz politykę poświęca dla siebie.

Dawniej pisywał artykuły wstępne. Dziś pisze występne.

Wszystkie te uwagi i obserwacje wytańczone w rytm jawy czy bostona nie są pesymistyczne. Dawniej napewno nie było lepiej, dawniej mężczyźni także nie ustępowali paniom miejsca w tramwaju, ani w ogonku kinematograficznym, nie pomagali wydostawać okrycia w garderobach teatralnych i t. p. Ale to są drobiazgi, nieznaczące drobiazgi (zresztą nieuprzejmość jest tylko importem naszych „cudzoziemców“). W wielkich gestach mężczyzna dzisiejszy jest godnym następcą wczorajszego...

H. Jel.

Szopka Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie.



Szopka odznaczała się wielkim humorem i doznała szalonego powodzenia. Lalki, przedstawiające grupę profesorską.



Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SEJM I RZĄD.

Ustawę wojskową uchwalił Sejm w trzeciem czytaniu, kończąc obrady nad nią okrzykiem: „Niech żyje armia!" Obowiązek dwuletniej służby wojskowej ciąży odtąd na wszystkich obywatelach, zdolnych do noszenia broni.

Oddanie soboru w Łucku katolikom zdecydował Sejm, uznając, że świątynia, wzniesiona polskim kosztem, została zabrana gwałtem przez rząd carski. Decyzja, choć sprawiedliwa, wywołała niezadowolenie wśród niekatolickiej ludności.

Gospodarkę w ministerstwie spraw zagranicznych skrytykowała bardzo surowo Sejmowa Komisja budżetowa. Piętnowano rugi urzędników, ciągłe translokacje dyplomatów i brak odpowiednich ludzi.

Umowę z telefonami Cedergrena uznała Sejmowa Komisja komunikacyjna za niekorzystną dla państwa. Interesy skarbu nie były należycie obronione. — Wyzysk abonentów jest także ogromny, choć pominięto to milczeniem.

Pamięć Wilsona i jego zasług dla Polski uczcił Sejm przerwaniem obrad na znak żałoby po gorącem przemówieniu marszałka Rataja.

Komandor Hilton Young opuścił Polskę. Praca jego i wskazówki przyczyniły się niewątpliwie do skierowania naszych finansów na drogę naprawy.

Przeciw podniesieniu stawek celnych na papier zagraniczny zaprotestowali przedstawiciele wydawców, dziennikarzy i literatów. Byłoby to ostateczne zabicie polskiej książki i gazety. Premier Grabski zainteresował się żywo tą sprawą.

SPRAWY POLSKIE.

Jaknajrychlejsze porozumienie się Polski i Małej Ententy celem wspólnego postępowania uznał p Benesz w swem exposé za bardzo doniosłe w obopólnym interesie. Niestety, polityka czeska wobec Polski nie popiera zbliżenia obu narodów.

Rokowania polsko-niemieckie rozpoczynają się w Genewie i w Warszawie co do sprawy obywatelstwa polskiego i kwestji opcji.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Stosunki francusko-angielskie nie ulegną zmianie z powodu objęcia steru rządów przez Labour Party. Minister Henderson chce przez współpracę stworzyć podstawy nowego porządku międzynarodowego.

Interwiew Lloyd George'a o tajnym traktacie francusko-amerykańskim wywołał burzę w światku politycznym. Lloyd George musiał odwołać swe twierdzenia, a Anglja oficjalnie zawiadomiła rząd francuski o tej jego kompromitacji.

Na notę angielską o uznaniu odpowiedziały sowiety gotowością wysłania pełnomocników do rokowań o sporne pretensje. Czego się nie robi, byleby zdobyć nowe kredyty.

Traktat włosko-sowiecki już podpisany. Ambasador włoski w Moskwie będzie niebawem mianowany. Inne państwa, z Austrją na czele, także się spieszą do ekonomicznego podboju Rosji.

Walka o pełnomocnictwa dla rządu francuskiego była w Izbie bardzo gwałtowna. I tam pewne grupy polityczne podejrzywały rząd o ukryte tendencje antykonstytucyjne.

Komisja rzeczoznawców opracowała projekt nowego niemieckiego banku emisyjnego, który i niemcy uważają za korzystny. Teraz komisja poszukuje jeszcze niemieckich kapitałów.

RÓŻNE.

Rozbiórka soboru na placu Saskim w Warszawie nareszcie rozpoczęta. Zniknie symbol niewoli, który niewiadomo czemu tak długo tolerowano w niepodległej Polsce.

Proces bankiera Stückgolda i wspólników o wywóz waluty z kraju wywołał ogromne zainteresowanie w kołach spekulantów. Potępiający surowy wyrok będzie dla niejednego odstraszającym przykładem.

Ogromne zaspy śnieżne utrudniły komunikację kolejową w Polsce. Zakopane zostało na tydzień dosłownie zakopane w śniegach i odcięte od świata.

Konkurs kompozytorski na chóralny utwór koncertowy świecki rozpisało Tow. „Chór męski Echo" w Poznaniu. Nagrody 100 złp., 50 złp. i pięć zaszczytnych odznaczeń. Termin 30 kwietnia b. r.

Związek słuchaczów architektury w Warszawie na dorocznem walnem zgromadzeniu wybrał prezesem p M. Talko-Porzeckiego, viceprezesem p B. Lacherta. Sprawozdania Komisji wykazały nader pożyteczną i kulturalną działalność związku.

W sobotę dn. 23-go lutego w teatrze Wielkim odbędzie się jubileusz 35-letniej pracy scenicznej zasłużonego artysty Opery Warszawskiej Wiktora Grąbczewskiego.

Dana będzie opera **CARMEN** Bizeta w pierwszorzędnej obsadzie pp. J. Gołkowskiej, A. Czapskiej, St. Gruszczyńskiego, H. Jaroszówny, M. Szternowej, E. Nabożnego, Z. Tokarskiego, J. Morlachego, M. Janowskiego — pod dyrekcją Adama Dołżyckiego.

W tańcach aktu II-go i IV-go przyjmie cały zespół baletowy z H. Szmolcówną, W. Pietrakiewiczówną i P. Zajlichem na czele.

Rolę Torreadora—odśpiewa Jubilat.

Rozstrzygnięcie konkursu na projekt pianina.

Urządzony za pośrednictwem Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana" konkurs na projekt pianina dla firmy J. Kerntopf i Syn w Warszawie, został rozstrzygnięty dnia 9 b. m.

Projekty nadesłało 7 autorów.

Pierwszą nagrodę przyznano jednogłośnie p. Janowi Szczepkowskiemu dyrektorowi szkoły sztuk zdobniczych w Warszawie; drugą nagrodę jednogłośnie p. Edwardowi Trojanowskiemu, profesorowi szkoły sztuk pięknych w Warszawie. Nadto wyróżniono pracę pod godłem A. B. C.

Skład sądu składał się z profesorów: W. Jastrzębowskiego, J. Czajkowskiego i Wład. Skoczylasa oraz pp. Adama Piątkowskiego i Józefa Blumhoffa jako przedstawicieli firmy J. Kerntopf i Syn.

Mapa województwa pomorskiego.

Pod kierownictwem prof. E. Romera ukazała się „Mapa województwa Pomorskiego, będąca pracą kartograficzną i naukową p. T. Szumańskiego. Mapę tę wydało Towarzystwo nauczycieli szkół średnich i wyższych, znane pod firmą „Książnica Polska" w sposób przynoszący chlubę naszej technice wykonawczej i naukowej. Kartografja nasza była dotychczas przedmiotem spekulacji różnych aferzystów, którzy przerysowywali gotowy szemat cudzoziemski, często nie zmieniając nawet obcych nazw miejscowości i rzek. Prof. E. Romer kładzie kres tego rodzaju przedsiębiorstwom. Wychodzące bowiem pod jego redakcją mapy są dziełami oryginalnemi, pochodzącemi ze studjów uczonych polskich. Mapy te mają wartość nietylko pedagogiczną, aczkolwiek zostały powszechnie zaadoptowane przez szkoły. Urzędy nasze administracyjne, pocztowe, skarbowe sięgają coraz częściej po nie, gdyż znajdują rzetelną pomoc i wskazówkę.

Mapa województwa pomorskiego w opracowaniu p. T. Szumańskiego jest również oryginalną i krytyczną w stosunku do elaboratów niemieckich. Daje plastycznie opracowaną sieć miast, miasteczek, dróg żelaznych dojazdowych, rzek, szos, wskazuje na stopień zaludnienia, a nawet podkreśla geologiczną właściwość terenu. Należy przypuszczać, iż niebawem znajdzie się w rękach tak ucznia, nauczyciela, jak i kupca, urzędnika lub podróżnika.



Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI.
Druk Galewski i Dau, Warszawa.

Humor zagraniczny.



— Za każdym razem, gdy piję tran, mama daje mi sto tysięcy marek.
— I co ty robisz z temi pieniędzmi?
— Oddaję je mamie na przechowanie, a jak się uzbiera trochę więcej, to mama znów kupuje tran..

(Excelsior).

HUMOR i SATYRA.

— Nic panu nie dolega, jest pan zupełnie zdrów. Musiało się panu zdawać, że pan jest chory...

— O nie, panie doktorze, ja doskonale wiedziałem, że jestem zdrów, ale czytałem, że honorarja lekarskie mają być za parę dni podwyższone o 300 procent, więc wolałem przyjść jeszcze przed chorobą, żeby mi wypadło taniej.

* * *

— Moja droga, wszyscy dziwili się, że nie przyszłaś na pogrzeb tej biednej Lusi... Czemu cię nie było?

— Bo, widzisz. Lusia zawsze za życia traktowała mnie zgóry, ja zaś mam taką zasadę, że chodzę tylko na pogrzeby tych osób, które poszłyby i na mój...

* * *

— Dlaczego właściwie zamknięto „Dolinę Szwajcarską"?

— Bo tam przychodziło za mało Szwajcarów a za dużo doliniarzy.

* * *

— Janku, jakże ci się wiedzie? Słyszałem, że nieźle zarabiasz?

— Owszem, mam tyle, ile mi potrzeba.

— To możebyś mi pożyczył z 50 meloników?

— Przepraszam cię bardzo: powiedziałem, że mam, ile potrzebuję, ale nie,— ile ty potrzebujesz.

* * *

— Ile oskarżona ma lat?

— 25, panie sędzio.

— Przed pięciu laty, gdy pani pierwszy raz stawała przed sądem, miała pani również, w swojem zeznaniu, 25 lat?..

— Ja, panie sędzio, nie należę do tych, co to dziś mówią jedno, a jutro co innego.

Risus.

ROZMÓWKI MATRYMONJALNE.

— Jakie są pani dalsze plany? Wyjdzie pani za mąż powtórnie, czy też zachowa pani wolność?

— Wie pan, najchętniej skombinowałabym jedno z drugiem.

* * *

— Radzę ci: ożeń się; mam nawet upatrzoną dla ciebie świetną partję.

— Dzisiejsze panny są takie zepsute!

— Ta, o której mówię, urodziła się przed czterdziestu laty.

— Chcesz, żebym się żenił ze starą panną?

— Wielkie rzeczy, stara panna czy młoda — różnica głupich kilkunastu lat!..

* * *

— Trudno, czynię to bardzo niechętnie, ale muszę się ożenić z bogatą wdową?

— Tak źle z twojemi interesami?

— Sytuacja jest wprost rozpaczliwa: jeśli się z nią nie ożenię, pozostawałaby mi tylko śmierć.

— Bój się Boga, co ty pleciesz?

— Tak jest: śmierć mojego bogatego wujaszka w Ameryce.

* * *

— Na tego trudno liczyć, to półgłówek!

— Może właśnie dlatego będzie chciał się ożenić.

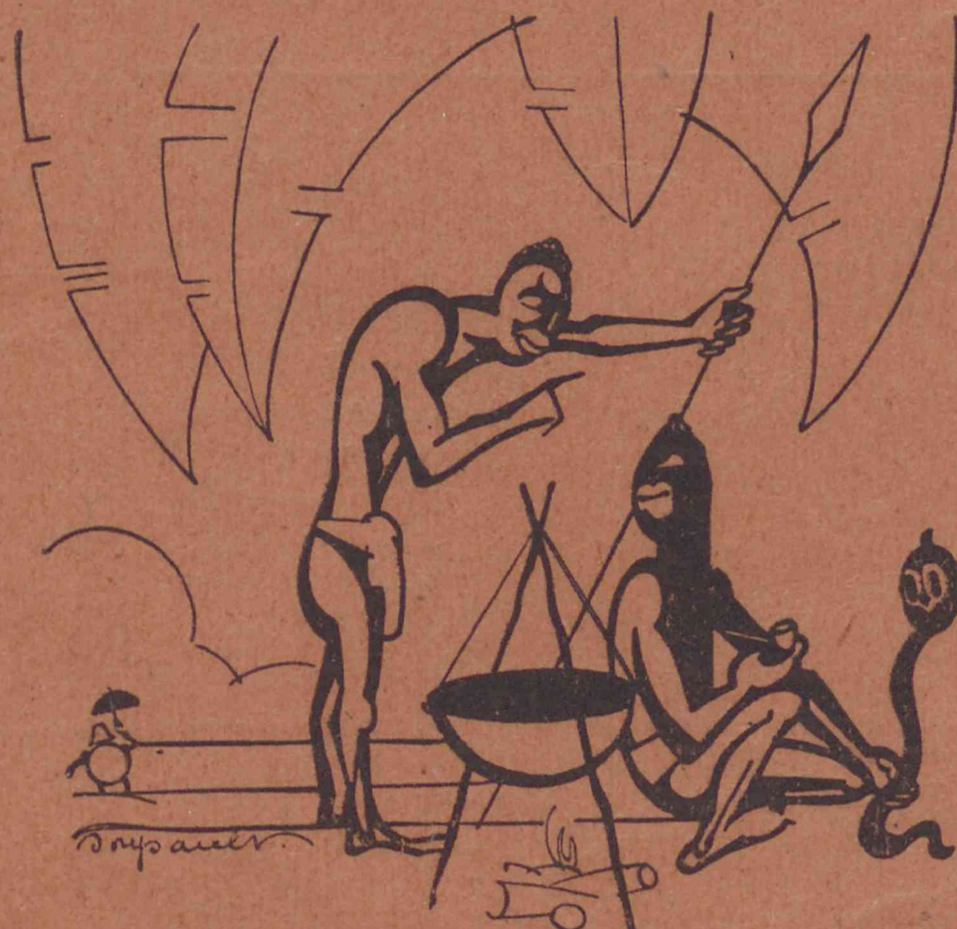
* * *

— Wyobraź sobie, Franek porwał mi żonę i uciekł z nią do Włoch.

— A ja myślałem, że to twój najlepszy przyjaciel.

— Może on dlatego też tak postąpił?

W CENTRALNEJ AFRYCE.



— Widziałeś nowego misjonarza.
— Tak, i uważam, że Europa okazuje nam dużo życzliwości. Ten nowy misjonarz jest o wiele tłustszy od poprzednich.

(Le Rire).

PREMJUM DLA PRENUMERATORÓW I STAŁYCH CZYTELNIKÓW „ŚWIATA"

Udało nam się nabyć znaczniejszą liczbę egzemplarzy albumu artystycznego BOGDANA NOWAKOWSKIEGO

„CIĘŻKIE CZASY"

czyli „WSPOMNIENIA WOJENNE WARSZAWIANKI".

Album to, wykonane w trzech barwach w zakładach graficznych „GALEWSKI i DAU, składa się z ośmiu plansz i okładki.

Cena zgoła wyjątkowa: $1^1/_2$ miljona marek.

Nabywcą może być każdy prenumerator „Świata", który przedstawi kwit z opłaconej za ostatni miesiąc prenumeraty, oraz każdy stały czytelnik „Świata", mogący się wylegitymować posiadaniem trzech ostatnich zeszytów „Świata".

Prenumeratorzy prowincjonalni opłacić muszą koszta przesyłki.

Premjum wydawać będziemy, dopóki wystarczy nam zasób posiadanych egzemplarzy. Zgłaszać się należy osobiście lub piśmiennie do administracji „Świata" (Szpitalna 12).

MŁYN PAROWY JOZEFA NAPIERALSKIEGO

w Lublińcu.

Młyn parowy w Lublińcu na Śląsku Górnym zawdzięcza swoje powstanie p. Józefowi Napieralskiemu dzielnemu i energicznemu przemysłowcowi i kupcowi polskiemu, który w roku 1920 wybudował młyn parowy obok dworca z własną bocznicą kolejową.

Młyn ten początkowo przemielał od 200 do 300 centn. zboża dziennie nie mogąc nadążyć ogromnemu napływowi zboża z całego prawie Śląska (mąka bowiem w młynie Lublinieckim przemiela się bardzo czysto). W ostatnich czasach udało się jednak p. Napieralskiemu nabyć dużą maszynę parową o sile 200 k. której budowa jest już na wykończeniu i która będzie mogła przemielać przeszło 400 centnarów dziennie.

W młynie tym zatrudnia się obecnie 13 robotników (po rozbudowaniu które jak wspominaliśmy jest już na wykończeniu) zatrudni znacznie więcej robotników i przyczyni się zapewne do pokrycia zapotrzebowań.

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
II „	90.—	45.—	23.—	12.—	6.—
III „	90.—	45.—	25.—	12.—	6.—
IV „	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
W tekście	180.—	90.—	45.—	24.—	13.—
Przed romansem	135.—	68.—	35.—	18.—	12.—

STRONA OPISOWA: Złp. 180.—FOTOGR. i KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: KRON. TOWARZ. i KOMUNIKATY za 1 m/m 30 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 40 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Tel. 47-25. Konto czekowe P. K. O. № 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.)
W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81.
księgarnia „Czytaj" Dzielna 2.
CENA PRENUMERATY za Luty: w Warszawie mies. Mk. 6.500.000 z odnoszeniem do domu 6.750.000 i na prowincji mies. 7.500.000
Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.300.000.